№ 24. Warszawa, dnia 16 (4) Czerwca 1883 r. Rok III.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres Redakcyi i Administracyi
Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Szanownym abonentom naszym przypominamy zbliżający się termin kwartalnej przedpłaty i prosimy o zamówienia wczesne, ażebyśmy im mogli w porę zadość uczynić.

SWOI I OBCY.

Dziś rzadziej, ale niedawno jeszcze dość często spotykaliśmy w pismach galicyjskich zamykanie drzwi rozmaitych przybytków karyery przed „obcokrajowcami"—z Królestwa Polskiego. Każdy niemal „koroniarz," pragnący zdobyć w Galicyi miejsce inżeniera lub nauczyciela, musiał uchylić głowę przed spadającym stąd i zowąd zarzutem, że niepotrzebnie ciśnie się do cudzej misy i objada „tubylców." Przeciwko tej szczególnej etnografii pisma warszawskie słusznie występowały niejednokrotnie. Jakoż niedorzeczne skargi przycichły.

I oto, jak gdyby w odwet, odezwały się one u nas, albo ściśle mówiąc — śród prasy warszawskiej. Galicya nas zalewa hołotą literacką! Nazad męty do źródła! — tak krzyknął jeden — potem drugi i trzeci, aż wreszcie wytworzyła się nowa „kwestya." Wiecież wy odurzani rozmaitymi gazami rozweselającymi i usypiani chloroformem umysłowym czytelnicy jałowych pism, jak się u nas rodzi większa część „kwestyj...?" „O czem tu pisać na warszawskim bruku?" — pyta siebie ustawicznie, spacerując po ulicy, pustogłowa rzesza wyrobników literackich, którzy wzgardzili młotem, bo ciężki, a wybrali pióro, bo lżejsze. Życie publiczne, niepłynące bystrym potokiem, lecz cieknące kroplami, nie dostarcza sposobności nawet do efektownych tytułów, a cóż dopiero do grzmiących frazesów; zbrodnie, klęski i wielkie przewroty, chociaż namiętnie pożądane przez Homerów skandalu, nie rodzą się dość często, pozostaje więc rozdymanie komarów w wielbłądy i podnoszenie rozmaitych „kwestyj." Czasem wystarcza prosta chęć zdarcia skóry z Pawła i odziania nią Gawła. Co robić! Przecież czemś siebie i swoich czytelników zająć trzeba. Z nudów, z braku nowin łapie się bez żadnej przyczyny np. p. Gawalewicza, nurza go się w błocie i odrzuca — Galicyi. Właśnie niedawno przeciągnięto go przez kilka dziennikarskich rynsztoków. Za co? Nikt nie wie. A za co potłuczono i obrabowano ekonoma z Przedborza? Coś miał przy sobie i jechał publiczną szosą. Bo i któż to jest ów p. Gawalewicz? Jest to pisarz zdolny, uczciwy, pracowity, spokojny, bardzo sympatyczny poeta, zręczny komedyopisarz a przytem jeden z niewielu strzegących czystości i poprawności polskiego języka. Do przedsięwzięć, przechodzących kres jego wiedzy i talentu, nie rwie się, kuglarstwa literackiego nie uprawia, ze ślepą kobyłą prawowierności na targ ciągle nie wyjeżdża, śpiewa mile jak skowronek lub jak sumienny rolnik orze. I tego człowieka napadnięto, ze czci odarto i pokaleczono. Rzecz godna uwagi, że gdyby wyjrzał się w jakiej warszawskiej kałuży, pozwolonoby mu spokojnie wygrzewać się na słońcu; ale on jest galicyaninem, więc... naprzód na niego a potem — kwestya!

Nie przeczymy, że nieraz przelatują do nas z Galicyi istoty, które ona wypluła, że przepełzają stamtąd gady, które stanowią nabytek wstrętny, alež te gatunki żyją wszędzie, Galicya specyalnie ich nie rodzi i nam nie przysyła. Czyż to jej wina, że jakiś fabrykant płatnych reklam i najmita do wszelkiego użytku dziennikarskiego, zdemaskowany dostatecznie i poznany na miejscu, opuszcza Lwów lub Kraków i przesiedla się do Warszawy, gdzie odcięty od swej przeszłości uczy nas zasad „obywatelstwa" i „honoru?" Przecież trudno, ażeby redakcye lub stowarzyszenia literackie w Galicyi przyszrubowały takich jegomościów u siebie. Skazani na informacye prywatne i ograniczone, nie kontrolujemy wcale napływu, w którym nieraz zły osobnik się przemknie. Są to przecie w każdym razie tylko osobniki. Galicya dała nam więcej pisarzów zdolnych i uczciwych, niż umysłowo i moralnie lichych. Czyż nam pierwszych nie potrzeba? Nie dotykając innych pól, co do literatury powtórzyć musimy dawne nasze przekonanie, że w prasie warszawskiej brak nie pracy, lecz sił. W jej szeregach widzimy znaczny procent ludzi, którzy tylko przez jakiś dziwny kaprys losu mogli się wziąść do pióra, którzy nie umieją skleić gramatycznie najprostszego zdania, którzy pełnemi garściami rozsypują lakierowane brednie i zanieczyszczają lub kaleczą język z okrucieństwem, godnem jego wrogów. Zdolnych więc publicystów nam potrzeba, i nie tylko nie powinniśmy przed nimi zamykać rogatki, gdy przybywają z Galicyi, ale owszem wzywać ich, jeśli tam są w nadmiarze. Zresztą, co tu mówić o jakiejkolwiek rogatce, o swoich i obcych, tubylcach i przybyszach? Jaki sens ma ta klasyfikacya wprowadzona do literatury? Czy do *niemców i żydów*, wydzielonych z polskiego społeczeństwa, mają być przystawieni jeszcze *galicyanie* i *poznańczycy?* Czy literat krakowski lub lwowski ma mniejsze od nas prawo występowania w Warszawie?

Zaiste, wstyd stawiać podobne pytania, a jednakże wobec świeżo wytoczonej i rozbijanej „kwestyi" stawiać je trzeba. Ach, żeby już przeminęły czasy tego wyjałowienia się życia, która konceptujących publicystów pobudza do takich dziecinnych, żakowskich rozpraw.

Ulgi manifestu.

II.

(Dla przestępców kryminalnych).

Druga część manifestu zawiera łaski dla przestępców kryminalnych.

Paragraf VII uwalnia od odpowiedzialności winnych naruszenia ustaw fiskalnych, sfałszowania paszportów itp. bez względu na stopień grożącej im kary — oraz innych przestępców, jeżeli kodeks wyznacza jako najwyższą karę: areszt, więzienie i twierdzę, ale bez ograniczenia praw lub grzywnę do 300 rubli. Ulgi te stosują się do osób, przeciw którym bądź nie rozpoczęto jeszcze procesu, bądź też wyrok nie zapadł i nie uprawomocnił się. Ułaskawienie nie dotyczy osób, oskarżonych o przestępstwa hańbiące (kradzież, oszustwo itp.), przestępstwa, których dochodzenie odbywa się nie z urzędu, lecz na skargę osób trzecich, i nieuwalnia winnych od obowiązku wynagrodzenia za szkody i straty.

Odsiadujących karę za przestępstwa powyżej wymienione manifest uwalnia od niej natychmiast. Skazanym na więzienie z pozbawieniem szczególnych praw i przywilejów, a nawet i bez pozbawienia, ale za przestępstwa hańbiące, termin kary zmniejsza się o $1/3$ część; również skraca się o takąż część, w stosunku do określonego przez prawo, termin przedawnienia.

Punkt 7-my paragrafu VII-go określa ulgi dla przestępców wysłanych na mieszkanie (*żytielstwo*) do oddalonych gubernij Cesarstwa i do Syberyi, pozwalając im po upływie 10 i 15 lat od daty wyroku wybrać sobie miejsce pobytu, ale praw utraconych nie powraca.

Wysłanym na osiedlenie (*posielenje*) do Syberyi i przeniesionym do tej kategoryi z liczby skazanych na ciężkie roboty, manifest skraca do 4 lat, dziesięcioletni termin wymagany dla pozyskania praw włościan i uznaje ich nie za pozbawionych praw wszystkich, lecz tylko szczególnych oraz przywilejów. Z ulgi tej korzystać mogą tylko ci, którzy dobrem prowadzeniem się zasłużyli na nią.

Pod tym warunkiem również skazani do ciężkich robót (punkt 9-ty paragrafu VII-go) mogą mieć zmniejszonym termin kary o $1/3$, a skazani na całe życie do 20 lat. Przyznanie tych ulg zależy od ministra spraw wewnętrznych i generał gubernatora wschodniej Syberyi.

Paragraf VIII-my uwalnia od kar pieniężnych, naznaczonych przez administracyę, w granicach określonych przez paragraf poprzedni, a IX-ty dotyczy strażników i urzędników leśnych, którzy tylko w razie świadomego dopuszczenia lub ukrywania przestępstw podlegają karze.

Karanym za włóczęgostwo (paragraf XII-ty) jeżeli wylegitymują się, pozwala manifest powrócić do miejsca urodzenia. Wogóle dla przestępców tej kategoryi ulgi są największe; manifest bowiem przywraca im utracone prawa i przywileje.

Zesłani administracyjnie z wyroków gmin, po upływie 3-ch lat, w razie dobrego sprawowania się — mogą wybrać sobie miejsce pobytu, oprócz miejscowości, z których zostali wydaleni.

III.

(Dla przestępców politycznych).

Przechodzimy teraz do najważniejszej części manifestu, traktującej o przestępcach politycznych. Stosują się do nich te same ulgi i w tym samym zakresie, co i do przestępców zwyczajnych. Oprócz tego minister spraw wewnętrznych, porozumiawszy się z ministrem sprawiedliwości, dla osób, które okażą skruchę i zasłużą na względność, może zmniejszyć karę w większym stopniu, aniżeli jest to przewidzianem w manifeście. Do takiej ulgi potrzebną jest wszakże Najwyższa sankcya.

Minister spraw wewnętrznych (3-ci punkt paragrafu XIV-go) otrzymał polecenie „zwrócenia Najwyższej uwagi" na los zesłanych drogą administracyjną i zostających pod dozorem policyi; wzbronienie pobytu w pewnych miejscowościach osobom politycznie podejrzanym ma być również uchylanem, o ile na to pozwolą względy bezpieczeństwa publicznego.

Emigranci, którzy nie są winni zbrodni stanu, pociągającej za sobą karę śmierci, jeżeli okażą skruchę, mogą przedstawiać prośby o powrót do kraju, za pośrednictwem ministra spraw wewnętrznych.

Przestępstwa polityczne, nieulegające przedawnieniu, jeżeli w ciągu 15 lat do dnia koronacyi nie były wykryte, mają być zapomniane i dochodzenie sądowe w sprawach tego rodzaju wszczynanem nie będzie.

Sprawy o obrazę majestatu rozkazano puścić w niepamięć, oskarżonych o nie lub odsiadujących z tego powodu karę uwolnić, oraz przywrócić im wszelkie utracone prawa i przywileje, z wyjątkiem majątkowych.

Górale kaukazcy, wysłani za udział w zaburzeniach i powstaniach. otrzymują całkowitą amnestyę.

Punkty 8, 9, 10 i 11 paragrafu XIV-go dotyczą wyłącznie polaków z Królestwa i prowincyj zachodnich, oskarżonych lub ukaranych za udział w powstaniu 1863 roku.

Ci, którym na mocy poprzednich manifestów przez Cesarza Aleksandra II wydanych, wzbroniono zamieszkania w pewnych miejscowościach państwa i wstępowania do służby rządowej lub pozostawiono pod dozorem policyjnym — otrzymują zupełną amnestyę i wszelkie ograniczenia zostają z nich zdjęte. Punkt ten dotyczy tylko osób świeckich. Ci, do których stosuje się powyższe rozporządzenie, jeżeli nie otrzymali jeszcze przywrócenia praw, odzyskują je na mocy manifestu wraz z potomstwem prawnem, zrodzonem po osądzeniu — ale bez zwrotu orderów, rang, praw majątkowych i przywilejów, nabytych w służbie rządowej.

Przesiedlonym z Królestwa Polskiego i zachodnich gubernij do Syberyi i dalszych miejscowości Cesarstwa manifest udziela prawa, służące stanom opodatkowanym. Mogą oni powrócić do kraju, bądź to za zgodą gmin, z których pochodzą, bądź z decyzyi władzy miejscowej. ale za opłatą zaległości podatkowych, o ile te nie są przez manifest umorzone.

Z brzmienia tego ustępu wyraźnie wynika, że stosuje on się do włościan i mieszczan przesiedlonych do Rosyi (głównie z Litwy). W manifeście powiedziano: *ssylnowodworennyje, peresielonnyje* i t. d. Błędnem więc jest tłomaczenie, że stosuje się to do osiedlonych (*posielonnych*). Ci ostatni, o ile jeszcze są, podchodzą pod ulgi wskazane wyżej. Wychodźcom z Królestwa i zachodnich gubernij, nawet w razie przyjęcia przez nich zagranicznego poddaństwa, manifest pozwala powrócić do kraju. przestępstwa przez nich popełnione nie podlegają dochodzeniu. Ale wszyscy powracający oddani będą pod dozór policyjny na dwa lata bądź to w kraju, bądź winnych miejscowościach Cesarstwa. Po upływie oznaczonego czasu dozór może być zdjętym z rozkazu ministra spraw wewnętrznych na przedstawienie generał-gubernatorów lub gubernatorów.

Praw majątkowych amnestyonowani nie odzyskują, nie korzystają również ze wska-

KANCELISTA MAGISTRATU.

Szkic ze wspomnień

Wiktora Gomulickiego.

W trzeciej izbie ratuszowej, najokazalszej ze wszystkich, królują trzej dygnitarze magistratu, niby trzej sędziowie piekielni: Minos-burmistrz, Eak-kwatermistrz i Radamantes-sekretarz.

Każdy ma własne biuro, własny kalendarz (Rodzyna), własną spluwaczkę i własne okno, którem wygląda na kurzące się kominy własnego mieszkania.

Drzwi, wiodące do tego sanctuarium, są zawsze szczelnie zamknięte. Nie każdy kto chce, może się za nie przedostać. Przywilej ten służy tylko wybranym, jak naprzykład: grubemu Szai, właścicielowi dwóch kamienic, pani Aleksandrowej, utrzymującej zimne i gorące przekąski, sangwinicznemu rzeźnikowi oraz przewielebnej gospodyni najprzewielebniejszego księdza kanonika. Gdy się drzwi te odemkną, bucha niemi ostry dym cygar i wrzawa śmiechów, wcale nie urzędowych.

Wszystkie „dusze" miasteczkowe, idące przed sąd Minosa, Eaka i Radamantesa, przebywać muszą czyściec izby środkowej, w którym dybie na nie, przyczajony za szafami — kancelista.

Poczciwiec ten jednak nie żywi względem nikogo zamiarów nieprzyjaznych. Przeciwnie: każdemu wedle możności użytecznym być pragnie.

Za użyteczność swą nie wymaga, broń Boże, wdzięczności, którajest wynalazkiem bezużytecznym, ciążącym jednej stronie a kłopotliwym dla drugiej — lecz sprzedaje się za gotówkę, pod warunkami jak najbardziej przystępnymi.

„Potrochu, ale od każdego" — oto jego zasada.

Podciągnął on zresztą oddawna już wszystkie rodzaje swej użyteczności pod jedną stałą *taksę*, od której nie ma zwyczaju nigdy odstępować.

Taksa ta przedstawia się, w streszczeniu, jak następuje:

1. Zwyczajne przywitanie — niuch tabaki do nosa i dwa niuchy do papierka.

2. Kwestya prosta: czy pan burmistrz jest w kancelaryi? — dwa grosze.

3. Kwestya skomplikowana: o której pan burmistrz będzie w kancelaryi?— cztery grosze.

4. Kwestya bardzo skomplikowana: dokąd pan burmistrz wyjechał i kiedy powróci? — sześć groszy.

5. Wyrobienie audyencyi u burmistrza — 20 groszy.

6. Wyrobienie audyencyi u kwatermistrza — 15 groszy.

7. Wyrobienie audyencyi u sekretarza— 10 groszy.

8. Podanie papieru do podpisu i przyłożenie na nim pieczęci — od piętnastu do czterdziestu groszy.

9. Jednorazowe zajrzenie do ksiąg ludności stałej lub niestałej — złoty.

10. Całkowite wyrobienie pasportu wraz z blankietem, książeczką legitymacyjną, podpisem naczelnika powiatu i uwolnieniem od kary (interes najgrubszy) — rubla.

Niezwykła dobroć serca i wyrozumiałość tego rzadkiego człowieka w tem się jeszcze dobitnie maluje, iż w braku gotówki, bierze od interesantów wszelkie produkty, mające jakiekolwiek zastosowanie praktyczne.

Nie gardzi on ani paczką drajkenigu od dystrybutorki, ani skrawkiem kortu od biednego krawca, ani chałą od straganiarki, ani słoikiem pomady od ucznia aptekarskiego, ani wreszcie garstką ryżu lub

zanych wyżej ulg oskarżeni o grabież, zabójstwo lub podpalenie w interesie powstania.

Jakkolwiek nie ma wzmianki szczegółowej o tem, nie może być sporu, że skazani do robót ciężkich i na osiedlenie, o ile poprzednio kara nie była im darowaną lub zmniejszoną, korzystają z łask udzielonych wszystkim przestępcom politycznym. Toż samo powiedzieć należy o polakach, oskarżonych o przestępstwa polityczne z przed i po 1863 r. Niepewności nawet żadnej w tej mierze być nie może, tem więcej, że wymienione wyżej punkty 8, 9, 10 i 11 paragrafu XIV-go nie mówią specyalnie o polakach, lecz wogóle o osobach, przyjmujących udział w powstaniu 1863 roku.

Wątpliwości, zaznaczone przez *Kraj* w tym względzie, a również co do powrotu emigrantom praw i przywilejów—upadają same przez się. Emigrantom praw powracać nie trzeba, bo ich nigdy pozbawieni nie byli, chyba ci, którzy już po osądzeniu zbiegli, ale takich jest niewielu, tylko majątki wszystkich wogóle emigrantów uległy konfiskacie. Rozumie się, do nich ulgi powyższe stosowane być nie mogą.

Paragraf XV pozwala, uwolnionym od kary na zasadzie manifestu, żądać sądu dla wykazania swej niewinności, ale jeżeli zostaną wtedy skazani, z nadanych łask i ulg korzystać nie mogą.

Paragraf XVI-ty nakazuje organom władzy w razach wątpliwych zwracać się z prośbą o rozstrzygnięcie niejasności do I departamentu Senatu.

POD UWAGĘ.

Głównem dotychczas, jedynem prawie dążeniem naszych gospodarstw było powiększenie produkcyi zboża. Zmieniające się wszakże warunki handlu zbożowego, wywołane wzrastającym wciąż przywozem z Ameryki, przekonywają jasno, na jakie niebezpieczeństwo wyłączność taka narazić nas może. Nieraz już podnosiły się w prasie poważne głosy, wykazujące rolnikom konieczność skierowania gospodarstw na inne tory — ku hodowli inwentarza.

Komitet, urządzający corocznie wystawę, zrozumiał ważność tej sprawy dla rolnictwa krajowego. Lecz wystawa — to tylko poglądowe przedstawienie istniejącego stanu rzeczy, wreszcie okazanie wyjątków; nawet konkursy na niewiele się przydadzą wobec szczupłej liczby uczestników. Popis, wykazując co mamy, uwydatnia ogrom tego, co jeszcze zrobić należy; ale to nie dosyć, to nawet wcale mało, bo brak nam przeważnie środków do poprawy. Większość rolników pojmuje wybornie korzyści a nawet konieczność poprawy i rozumnych zmian w hodowli inwentarza, potrzeba jednak na to kapitału, bez którego ani dobre chęci, ani znajomość rzeczy złemu nie zaradzą. Pożądany kredyt winien być, jeżeli już nie długo-terminowy, to przynajmniej kilkoletni, z rozłożeniem wypłat na raty.

Projektowany i wciąż do lepszych odkładany czasów kredyt melioracyjny, mogłby pomódz w tej mierze, ale zanim doczekamy się chleba z tej mąki, warto pomyśleć i o innych środkach. Pozbawieni nieraz możności wytwarzania potrzebnych nam instytucyj, winniśmy tem baczniejszą uwagę zwracać na istniejące i wyzyskać je, o ile można, dla dobra ogólnego.

Z inicyatywy fabrykantów Bank Polski udziela ziemianom kredytu na narzędzia i maszyny rolnicze, z czteroletnią, częściową wypłatą; jest to wielka ulga, bo wartość ulepszonych narzędzi wypłaca rolnik z zaoszczędzonych zysków. Hodowcy inwentarza, albo sam komitet wystawowy winien postarać się o wyrobienie takiegoż kredytu dla nabywców reproduktorów i matek. Inwentarz żywy jest równie potrzebny w gospodarstwie, jak martwy. Pewność wszelką ma Bank Polski, bo raty ściąga administracyjnie, a nabyte sztuki inwentarza żywego pozostawać mogą na gruncie tak samo, jak maszyny, pod dozorem wójta gminy i ograniczeniem sprzedaży.

Rzucamy myśl naszą tem śmielej, że w ustawie Banku są punkty, pozwalające mu na rozszerzenie działalności w tym względzie. Na mocy rozporządzenia b. Rady administracyjnej z 1828 r. otworzono w nim kredyt hodowcom owiec na kupno ulepszonych gatunków.

Dobroczynny wpływ tego środka udowodnił się wyraźnie. Dziś owczarstwo należy u nas do najlepiej rozwiniętych gałęzi gospodarstwa. Przed kilkunastu laty Bank Polski zamknął dział pożyczek i ograniczył swoją działalność w tym zakresie do udzielania kredytu na zastaw wełny. Przyczyną tego faktu było słabe zainteresowanie się ogółu ziemian hodowlą owiec. Obecnie zmieniły się warunki, bieda nauczyła nas rozumu, a chętnych do korzystania z kredytu nie zabrakłoby. Nie ulega wątpliwości, że na zasadzie istniejących przepisów Bank nie odmówiłby pomocy hodowcom owiec, gdyby znaczna większość tego zażądała. Ale dla czegóż taka wyjątkowa miłość dla owiec? Dlaczego komitet wystawowy nie miałby podjąć starań około odpowiedniego uzupełnienia przepisów na rzecz równouprawnienia koni, bydła a nawet trzody chlewnej z owcami?

Podniesienie hodowli u właścicieli ziemskich wpłynęłoby korzystnie i na ulepszenie inwentarzy włościańskich. Zczasem może doszlibyśmy do posiadania reproduktorów gminnych, zakupionych na koszt wspólny...

Czy komitet wystawowy, zbyt dotąd zajęty pełnemi i ćwierćkrwiami, zechce wziąć na siebie inicyatywę w tym względzie — to już jego rzecz. Obowiązkiem naszym jednak było, idąc za narzekaniami kilku ziemian, wskazać praktycznie możliwe rozstrzygnięcie tej kwestyi. Pojmujemy dobrze, że chcąc pokryć koszta wystawy, komitet musi się uciekać do różnych środków, mających na celu zwabienie jak największej ilości ciekawych, ale jeżeli wystawy mają istnieć tylko dla zaprezentowania okazów wciąż jednych i tych samych wystawców, jeżeli nie obudzą żadnej myśli płodnej w następstwa, to korzyść z nich dla rolnictwa krajowego będzie, co najmniej, wątpliwą. W takim razie rzecz cała nie warta zachodu i starania, a popis schodzi do znaczenia amatorskiej zabawki, w której większy udział przyjmują duma i humor, niż myśl poważna. Przed otwarciem wystawy pobudzaliśmy ziemian naszych do narady nad licznemi potrzebami rolnictwa, dziś podsuwamy im pod uwagę jedną z nich, którą niech załatwią według wskazówek dobrze zrozumianego interesu, a nie tradycyjnej niezaradności.

Wiat.

GROŻNA KLĘSKA.

Zaprawdę, śmiało teraz możemy się nazwać narodem wybranym!

Po katastrofach w Nicei, Wiedniu i Berdyczewie, które kosztowały setki ofiar, Teatr Rozmaitości spłonął wtedy właśnie,

---

kilkoma ziarnkami pieprzu od biednego żydka, bankrutującego na towarach kolonialnych.

I w tych to dopiero wypadkach występuje na jaw niezmierna użyteczność burego szynela oraz jego kieszeni i kieszonek, o których już wyżej wspomniano.

*　*
*

Pewien buńczuczny szlachcic uniósł się raz wielką pasyą na kancelistę.

— To łapownik, panie dobrodzieju, łapownik! Poczciwych ludzi żywcem ze skóry obdziera! Ale ja ukrócę te nadużycia! ja go do wyższej władzy zaskarżę!

I pociągnął w samej rzeczy małego człeczynę przed groźny majestat naczelnika powiatu.

Tu muszę objaśnić, iż surowemu karmazynowi chodziło nie o więcej, jak o grosz—o jeden grosz polski.

W owym czasie, przepisy policyjne były silnie obostrzone, i do przebycia rogatki miejskiej potrzebną była, za każdym razem, kartka z magistratu, poświadczająca tożsamość osoby.

Kancelista nasz, który zajmował się wypisywaniem owych kartek i stawał się przez to użytecznym publiczności, wciągnął do swej taksy nową pozycyę:

„Kartka na przejście lub przejechanie rogatki — *grosz*."

Nawiasem dodaję, iż kartek takich brano w dnie zwyczajne po kilkudziesiąt, a w targowe i jarmarczne po kilkaset i więcej.

Otóż szlachcic nie chciał owego grosza zapłacić.

Gdy naczelnik powiatu wyrozumiał sprawę, jął strofować Jana Nepomucena w ten sposób:

— Jak wam nie wstyd, Janie *Mojsiejewiczu*, brać z osoby po jednym groszu! A to choćby już po pięć lub sześć groszy!

A na to Jan Nepomucen, zgiąwszy się we dwoje:

— Dzięki pokorne składam jaśnie wielmożnemu naczelnikowi za *podwyższenie taksy*...

*　*
*

Kancelista jest człowiekiem uprzejmym jak rzadko, a raczej, mówiąc właściwie: serdecznym.

W Nowy rok obchodzi wszystkie domy z życzeniami; oprócz tego winszuje wszystkim imienin oraz wybitniejszych uroczystości rodzinnych.

Częstują go cygarem — przyjmuje, kłania się i chowa je do kieszeni.

Częstują go winem — pyta:

— Na ile butelka?

— Na dwa ruble.

— A ile w butelce kieliszków?

— Dziesięć.

— To ośmielam się prosić o jeden kieliszek — gotówką.

Poczem bierze czterdzieści groszy, kłania się i wychodzi.

*　*
*

Zdarza się czasem, że jakiś interesant, uparty lub skąpy, nie chce płacić wymaganego myta. Na takiego posiada Jan Nepomucen kilka wypróbowanych sposobów, z których zwykle jeden wystarcza w zupełności.

Najprzód — głuchnie. Bystry zazwyczaj słuch tępieje mu w jednej chwili tak mocno, iż najprostsze zdanie trzeba mu kilkanaście razy powtarzać, zanim je usłyszy i zrozumie.

Następnie zabiera się do temperowania pióra. Zwyczajna ta czynność zajmuje mu co najmniej pół godziny czasu. Przyczyna

kiedy od paru dni zaledwie widowiska przeniesiono do Teatru Letniego, a nawet w Wielkim nie było wcale przedstawienia. Fakt ten wywołał okrzyki radosne ze strony kilku pism, pocieszających się łatwo szczęściem w nieszczęściu i wnioskujących, że tu Opatrzność czynną być musiała. Pomijając ten trafny domysł, który wybiera sobie warunki najdogodniejsze, przyznajmy słuszność cieszącym się, zważywszy, że w gmachu teatralnym istniały piekarnie i kuchnie, że nad sufitem, w pobliżu świecznika, znajdował się skład materyałów pyrotechnicznych, że wody zabrakło w rurach, a krany nieodkręcały się wcale, że wreszcie tak zwane schody bezpieczeństwa zbudowane były — z drzewa sosnowego, wylane—smołowcem i paliły się najlepiej.

Komisya rewizyjna, wyznaczona po katastrofie wiedeńskiej, zaopiniowała, że piekarnia p. Janowskiego winna być bezwarunkowo usuniętą. Postanowienie to wszakże, dla jakichś szczególnych względów, nie było wykonanem. Nie przypominali też o niem, dla tych samych zapewne względów, pp. reporterzy, troskliwie konstatujący ilość „pułapek“ na ulicy Wroniej lub Żurawiej. Osoby mieszkające w teatrze, utrzymują, że od paru dni, po ugaszeniu częściowego pożaru, tliła się jakaś belka czy coś podobnego, bo dym napełniał korytarze, aż wreszcie ogień wybuchnął. Na okoliczność tę zwracano uwagę kogo należy — ale bez skutku. Wprawdzie specyalista od pożaru w pewnej gazetce nazywa to przypuszczenie, nie mającem sensu, ale to nic nie przeszkadza, żeby w niem tkwił sens główny.

Porzućmy wszakże oskarżenia. Śledztwo sądowe wyjaśni zapewne przyczynę pożaru, a winni niedozoru i występnego niedbalstwa może nie unikną zasłużonej kary.

Bądź co bądź, strata jest ogromną, nie materyalnie wprawdzie, bo teatr, jak donosi *Wiek*, był ubezpieczony, a jego ruchomości strzegła suma 200,000 rs. Zresztą może rząd nie odmówi zasiłku, gdyby zaś zaszła potrzeba, ufamy, że obficie posypią się składki. Ale nim odbudowanie nastąpi — a że prędko nastąpić nie może, o tem wie każdy, obeznany z manipulacyami urzędowemi — pozbawieni będziemy na długi przeciąg czasu jedynej sceny dla przedstawień dramatu i komedyi polskiej. Nie należymy wcale do fiksatów teatralnych, nie zaprzęgamy się do tryumfalnego rydwanu aktorek i śpiewaczek, ani przypisujemy im posłannictwa zbawienia narodu, ale czujemy i rozumiemy dobrze, jaki znaczenie ma teatr polski w dzisiejszych naszych stosunkach i bolejemy nad rozmiarami klęski. Przez kilka lat publiczność pozbawioną będzie uszlachetniającego wpływu żywego słowa, przez te kilka lat obniży się poziom estetycznego smaku, karmionego tylko baletem i operą, drobnemi farsami albo piosenkami w przybytkach „wesołej muzy.“ Odpowiedniej sali dla urządzenia czasowych przedstawień w Warszawie niema, a monopol teatru rządowego stoi na przeszkodzie przedsiębiorstwom prywatnym. Jakim będzie wreszcie los znacznej części artystów, skazanych na przymusowe bezrobocie? Czy te tak mozolnie pozbierane artystyczne siły nie rozpierzchną się na wszystkie strony za kawałkiem chleba i czy możebnem będzie zebrać je na nowo.

O wszystkich tych kwestyach wartoby pomyśleć i zastanowić się poważniej. I my „przekonani być chcemy“— mówiąc stylem pewnego Kuryera — „że scena polska znajdzie należny przytułek i godne jej pomieszczenie;“ ale niestety, przekonani stanowczo nie jesteśmy. Wierzymy, że fundusze potrzebne dobędą się, że choć bieda nas gnębi i tysiące dziur mamy do załatania, znajdziemy jeszcze pieniądze na ten nowy niedostatek. Pomimo trzydziestu kilku kościołów w Warszawie, co roku prawie wypływa projekt zbudowania nowego, popierany przez całą prasę nader energicznie. Trochę tylko dobrych chęci, nieco pamiętania o tem, że „tam twój kościół, skąd boskie spływa ci natchnienie“ — a będziemy mieć nowy teatr. Ale należy gorąco sprawę tę wziąć do serca, należy przedewszystkiem starać się o przyspieszenie budowy i znalezienie jakiegoś sposobu zaradzenia bezrobociu sceny dramatycznej. Głosów potrzeba wielu, chociażby wielu projektów, gdy tymczasem dzienniki nasze piszą wydęte pustą deklamacyą nekrologi i szczegółowe, ale przesadzone i kłamliwe opisy katastrofy.

Oburza, doprawdy, ta niepoprawna, bezczelna frazeologia; w całym potoku „szerokich płomieni,“ „wężykowatych języków,“ „bezwiednej modlitwy tłumu“ ani jednego trzeźwego słowa, ani jednej rozumnej myśli.

Na drugi dzień po wypadku znaleźli już spokojną chwilę do usmażenia konceptów i ukucia frazesów, chociaż nie mieli dosyć czasu do poprawienia błędów gramatycznych. Wiemy już specyalne nazwy pokoików, mamy szczegółowe monografie każdej nieledwie dziury w gmachu teatralnym, ale przyszłość sceny niewiele nas obchodzi. Zostanie przecież opera i balet, słyszeć będziemy polskie koguty i widzieć polskie nogi, a więc dobrowolni klakierzy nie stracą pola do owacyi dla „przedstawicielek narodu,“ dla „słowiczych gardziołek,“ i „lekkonogich sylfid“ — a tego tylko im potrzeba.

W kuryerach: *Codziennym* i *Porannym* rozpoczęto już składki; strumienie ofiarności nie powinny być tamowane, gdyż w każdym razie się przydadzą. Kto tam najodważniej z ochotników kierował „kiszką“ przy gaszeniu pożaru, kto pierwszy łunę spostrzegł, jakie ona na twarzy nieba wypaliła „rumieńce“ — to mniejsza. Dziś tylko o tem myśleć trzeba: jakim sposobem co prędzej odbudować scenę polskiego dramatu i komedyi. Nie wskazujemy tymczasem drogi, bo sądzimy, że dyrekcya teatralna ją szybko wytknie. *J. L. P.*

J. TURGENIEW *).

I.

Niewola włościańska od kilkuset lat zarażała i psuła społeczny organizm rosyjski. Dobrobyt ludu pozostawał tam w stosunku odwrotnym do świetności czynów i podbojów wojennych: obszerne terytorym moskiewskiego państwa, od chwili łączenia się udziałów, zaokrąglało się ustawicznie kosztem klas niższych, których los od wieków nie podlegał zmianie, bo siłą fizyczną podbijane prowincye narastały czysto mechanicznie, jako nowe cząstki, nie przerabiając wewnętrznego organicznego składu państwa. Od IX wieku klasy niższe biły czołem przed wyższemi, wyższe przed księciem, książę przed „ikoną“ — w ten sposób wytwarzała się cała hierarchia władzy i posłuszeństwa. Rozkład wewnętrzny rozpoczął się za panowania Aleksieja Michajłowicza. Piotr Wielki, widząc otchłań ciemnoty i zabobonu, w której Rosya tonęła, występuje do walki z istniejącym porządkiem, nie przebierając w środ-

*) Nieuleczalna, zdaje się, choroba znakomitego pisarza, chociaż mu pozostawi jeszcze jakiś czas życia, zamknęła już prawdopodobnie jego działalność. Właściwem tedy, jak mniemamy, jest już dziś ograniczenie tej działalności w ogólnym szkicu.

Redakcya.

---

nosek pióra scyzorykiem, skrobie go z wierzchu, z boków i z pod spodu, macza w ustach, potem w atramencie, próbuje, znów przycina, rozszczepia, wygładza, słowem: wyprawia z nim niestworzone dziwy. A interesant tymczasem przestępuje z nogi na nogę, niecierpliwi się i oblicza w myśli: ile kosztować go będzie ta nieprzewidziana strata czasu?

Gdy i ten środek nie skutkuje, chwyta się ostatniego, którym jest: poszukiwanie potrzebnych dowodów w archiwum. Wchodzi do małej izdebki, posiadającej drzwi okute żelazem, przydźwiguje stamtąd pliki papierów pokrytych kurzem i pajęczyną, trzepie je pod samym nosem interesanta, potem szuka... szuka... szuka... dopóty, dopóki na wieży ratuszowej nie wybije dwunasta („czas iść na objad“) albo piąta („biuro się zamyka“).

Żeby i wobec tego nie kapitulować, trzeba być aniołem, dyabłem, albo też: nie mieć nic lepszego do roboty nad wystawanie całemi dniami w izbie lub sieni ratuszowej.

* * *

A jednak w duszy tej, tak z pozoru zimnej i zrównoważonej, burzy się — jak w wielu duszach żydowskich — jakiś nieświadomy siebie ferment idealny, mistyczny...

Kiedy kancelista powraca, po godzinach kancelaryjnych, do domu, wówczas wraz z burym szynelem zrzuca z siebie skórę policyjną i staje się odrazu zgoła innym człowiekiem.

Obsypuje pieszczotami dzieci, tka im w usta przyniesione z miasta pierniki i groszowe cukierki, a potem staje przed spłowiałym dagerotypem nieboszczki żony i przez długi czas wpatruje się weń, jak w tęczę.

Po objedzie — jeśli jest lato — przywdziewa garnitur z żółtego nankinu i wyrusza na długą, samotną przechadzkę.

Cel tej przechadzki jest zawsze jeden.

Kancelista przechodzi most, przy którym rzeźnia miasteczkowa zaraża powietrze trującymi wyziewami, a następnie puszcza się brzegiem rzeki daleko, daleko, aż pod las, do miejsca, w którem rzeka rwącym nurtem zawraca na lewo i rozlawszy się szeroko, obmywa złocisty piasek i wychylające się z niego pokręcone korzenie sosen.

Drepcząc tak, wśród krzaków łozinowych, pod ciemnolistnemi wierzbami, których gałązki muskają fale, wśród łąk wilgotnych od wieczornej rosy, przystaje niekiedy, zdejmuje czapkę i w głębokiem zamyśleniu trze dłonią swą ogórkowatą, przy samej skórce ostrzyżoną głowę.

Chwilami, nakształt psa gończego, wytyka przed siebie nos i wietrzy długo aromat kwitnącej lub skoszonej łąki; chwilami przygląda się pilnie przez okulary błękitnemu niebu i chmurkom różowym; chwilami wreszcie zamknąwszy oczy, przysłuchuje się, jakby w omdleniu, wieczornym modlitwom zięb, pliszek i derkaczów.

Zdarza się niekiedy, że usiadłszy na nadrzecznym kamieniu, wpatruje się w płynącą wodę tak długo, aż go noc ciemna zaskoczy. Wówczas zrywa się gniewny, jakby zawstydzony, i łając sam siebie półgłosem, bieży czemprędzej do domu.

Wieczorami, dla oszczędności, nie pali światła; dla oszczędności także nie wychodzi na miasto.

W chwilach takich, wyciąga z kąta mały flecik, i siadłszy w otwartem oknie, wychodzącem na tak zwane *tyły*, czyli uliczkę niebrukowaną, pełną śmieci i błota, piszczy, nieraz do samej północy, stare krakowiaki i polonezy.

Kiedyindziej, kładzie się na twardej sofce i każe córce, aby grała na odwiecznym, dzwoniącym i skrzypiącym *szpinecie*, który nabył za psie pieniądze na licytacyi. Dziewczynka popisuje się z czem może,

kach, depcze uświęcone wiekami przesądy, przeprowadza cały szereg doniosłych reform i wskazuje swym poddanym—Petersburg, to „świeżo wybite okno,“ przez które mają na zachodnią Europę spoglądać.

Od XVIII w. wpływ owej Europy zarysował się; był to pierwiastek obcy, ale odżywczy, który na miejsce dawnych zużytych Rosya przyjąć musiała. Chodziło o to, aby go należycie przetrawiła i wessała w krew własną. Dotąd żywioł zachodnio-europejski nie stracił na swej sile przyciągającej, choć już za Piotra W. napotkał opozycyę w partyi „stariny,“ która z biegiem czasu partyą słowianofilów się ochrzciła.

Wskutek ustawicznej walki, jaką dwa stronnictwa: zachodnio-europejskie, liberalne, i słowianofilskie, konserwatywne między sobą prowadziły i przeszkód, jakie drugie pierwszemu na drodze postępu stawiało, spostrzegamy tam zupełnie odrębny charakter postępowego ruchu. Rosya od początku XVIII wieku szła zawsze naprzód, chociaż nie szła równym, miarowym krokiem cywilizacyjnego postępu całego społeczeństwa, ale skokami rozpaczliwego wysiłku pojedynczych warstw; po skoku naprzód odrzucała się wstecz i cofała kilkakrotnie na drogę bezmyślnego błąkania i milczącego spokoju.

Od r. 1830, po epoce takiej ciszy martwej i niemocy moralnej, rozpoczyna się budzić życie, ruch: pod świeżymi powiewami z Zachodu ocknęła się samowiedza w pokoleniu młodem, które zajmuje się poezyą, nauką, filozofią, zmianami politycznemi i żywotnemi sprawami chwili, które nie chce wierzyć, aby poprzedni stan zastoju mógł przejść w chroniczny, które tworzy ideały nowe, a spotykając do urzeczywistnienia ich przeszkody w życiu, okrytem starą pleśnią, wyciąga ręce, jak do deski ocalenia, do cywilizacyi zachodniej. W chwili takiego ruchu, gdy więcej było nieokreślonych pragnień, niż sformułowanych żądań, więcej zagadek gorących i pytań nierozstrzygniętych, niż odpowiedzi na nie, jedyną należycie pojętą i dojrzałą kwestyę stanowiła myśl o potrzebie uwłaszczenia włościan. Do postawienia jej przyczynili się młodzi, utalentowani pisarze. Nowe bowiem pojęcia, potrzeby i dążenia słusznie znalazły oddźwięk w literaturze. Wystąpił wtedy cały zastęp pisarzów z krytykiem Bielińskim początkowo, a Turgeniewem, Gonczarowem i Ostrowskim później na czele, którzy, ująwszy prądy i potrzeby chwili, dali ich obraz konkretny.

Turgeniew rozpoczął działalność literacką od krótkich opowiadań myśliwego, które złożyły się na całość znaną p. t. *Zapiski ochotnika*. Myśliwy, chodząc od chaty do chaty, poznajamia się z jej mieszkańcami, rozpytuje go, słucha jego gawędy, skargi ukrytej lub wyraźnej i dzieli się swojem wrażeniem z czytelnikiem, powtarza swoją własną rozmowę z chłopem, daje jego wizerunek moralny, niekiedy wyprowadza o nim wniosek. Na tle po mistrzowsku malowanych, odwiecznych lasów i zielonych gajów, wśród nocy ciemnej, chłodnego, szarego, jesiennego poranku lub piekącego południa, na tle duszą artysty odczutej i w żywą poezyę słowa ujętej natury, przesuwa się cała galerya typów wieśniaczych, z ich dolą i niedolą, z życiem bez troski o jutro, z mądrością życiową i filozofią praktyczną. Wśród wieśniaczego świata spotykamy praktycznego pozytywistę Chora, który handluje dziegciem, zbiera pieniądze i despotycznie rządzi rodziną — romantyka Kalinycza, który śpiewa, ale gospodarzyć nie umie, gromadkę gwarzącej dziatwy z odważnym zuchem Pawłuszą i smutnym, chorowitym Kostią, co tęskni do ziemi, gdzie zimy nie ma wcale — przed wiekiem postarzałą Irenę młynarkę, którą bez winy sromotnie wypędzono ze dworu — Kasjana idealistę, wspaniałomyślnego Biriuka i wiele innych sympatycznych postaci. Po większej części typy to są dodatnie, rysowane artystycznie, delikatnie a prawdziwie, ale jednostajne i jednostronne. Jednostajność wprawdzie ma wszelki pozór naturalności; nic dziwnego bowiem, iż myśliwy, chodząc od wsi do wsi, spotyka ludzi jednej sfery pod względem moralnym, bliźniaczo do siebie podobnych. Jednostronność wypływa z samego założenia autora, który miał na celu zwrócić uwagę na stosunek między chłopem a „pomieszczykiem,“ wykazać zależność pierwszego od drugiego. Niedokładność zatem portretowych wizerunków pochodzi nie z braku środków technicznych, ale z umyślnego upozorowania modelu: gdy jednookiego malarz maluje w profilu, chybić w uchwyceniu podobieństwa musi. Chłopi Turgeniewa są bardzo sympatyczni, ale zanadto filozofowie i zanadto pod względem moralnym czysto wymyci; przypuściwszy możliwość wyjątków, widzimy w *Zapiskach myśliwego* tych wyjątków za wiele, abyśmy w ich byt realny uwierzyć mogli.

Bądź co bądź, powieść ta, która dotąd ma wysoką wartość artystyczną, w swym czasie posiadała i doniosłe znaczenie społeczne. Cel jej był w zupełności osiągnięty. Wskutek samego wyboru treści z nieznanego świata i widocznej chęci zyskania sympatyi dla przedstawionych postaci, zaakcentował Turgeniew swoje przekonania demokratyczne, a zarazem ściągnął uwagę tysiącznego tłumu na stan włościański i na potrzebę reformy. Odczuł on przytem i ujął potrzebę chwili, bo skłonność powszechna już zaczęła się przechylać na stronę idei uwłaszczenia. Kilkakrotnym też echem odezwały się za nim głosy, odgrywające rolę dzwonów bijących na trwogę: naruszały one nocną ciszę, ale przerywały sen, w objęciach którego społeczeństwo śmiercć znaleść może.

W chwili przebudzenia się ogółu, wśród ruchu, którego środkowym punktem było uwłaszczenie włościan, a do którego najlepsze cząstki moralne lgnęły, narodził się, jako wytwór nowych warunków miejscowych, nowy typ, w jego zaś przekształceniu stopniowem trzy główne odmiany zaznaczyć należy: frazeologa, działacza i męczennika idei.

W przeciwstawieniu owym postaciom wieśniaczym z *Zapisek myśliwego* Turgeniew ujął ów nowy typ społeczny w odmianie wstępnej i dał jego obraz w powieściach: *Rudin* i *Gniazdo szlacheckie*.

Osnowa pierwszej z tych powieści nadzwyczaj prosta. Bohater Rudin zjawia się zupełnie przypadkowo w salonie szlachcekim; rzadką swoją wymową podbija serca aż trzech kobiet i jednego młodzieńca; pożycza pieniędzy i, gdy najmłodsza z jego wielbicielek chce faktycznie ofiarować mu swoje serce, iść z nim choćby na koniec świata, tłomaczy jej, iż on nie wart takiej miłości — i wyjeżdża. Po kilku latach autor przedstawia znowu Rudina i każe mu opowiadać o niepowodzeniach i fatalistycznym niemal losie; w końcu ukazuje go nam ginącym na barykadach w Paryżu.

Sam szkielet frazeologa Rudina niepopętny; całość jednak plastyczna postaci wypełniona ciałem, krwią i nerwami, chociaż bardziej jest ujemną niż dodatnią, chociaż ukazuje charakter słaby, wizerunek moralny jakby nieskończony, jako wierne odbicie rzeczywistości nad wszelki wyraz jest prawdziwą. W Rudinie widzimy człowieka ze zdolnościami niezwykłemi, który wybija się po nad poziom ogólny, bo o głowę swoje otoczenie przerasta. Niezadowo-

---

gra gamę zwyczajną i gamę z jednym krzyżykiem, a także aryę z „Fradiavolo“ w bardzo pierwotnym układzie, ojciec zaś słucha tego wszystkiego w uroczystem milczeniu, wzdychając od czasu do czasu głęboko.

Któż zgadnie: o czem wówczas myśli? o czem marzy?

* *
*

Nie jest to zresztą człowiek szczęśliwy. Żona, którą podobno kochał bardzo — na swój sposób — odumarła go w trzy lata po ślubie; kobiecina dość gładka a sławowita, nabawiła się suchot, dzięki mężowskiemu systemowi oszczędności. Kancelista powtórnie się nie żenił, a dzieci oddał pod opiekę starej ciotki żoninej. Trawiła go też od śmierci żony tajemna melancholia, z którą wszakże nie zwierzał się przed nikim.

Odtąd celem życia były dla niego dzieci: syn i córka.

Ale dzieci te nie ze wszystkiem mu się „udały.“

W chwilach rozmyślań, wówczas może, gdy godzinami całemi wpatrywał się w płynącą wodę, wymarzył dla nich obojga przyszłość czarowną...

Syn miał skończyć szkoły, przejść aplikacyę w jednem z biur warszawskich, ożenić się bogato i zostać jakim gubernialnym dygnitarzem.

Córka znowu miała wyjść na artystkę— na pierwszorzędną artystkę, o której pisywałoby w Kuryerku i której portrety znajdowałyby się w tych ładnych gazetach z obrazkami, jakie kancelista widywał u burmistrza, prefekta i panny Ciapuciewiczówny.

Tymczasem, co do syna, stało się trochę inaczej.

Chłopcu uformowała się, ni stąd ni zowąd, na prawej łopatce wypukłość, z której, gdy doszedł do lat dziesięciu, wytworzył się — garb. Wyśmiowany i gnębiony przez kolegów, a przytem sam z siebie leniwy, przeszedł z trudnością przez dwie klasy, siedząc w każdej po dwa lata, i na tem karyerę naukową zakończył.

Ojciec, nie wiedząc, co z nim począć, oddał go na aplikacyę do biuru powiatu. Okazało się jednak, iż garbus w miejsce zdolności administracyjnych posiada w stopniu wysokim zdolności bankierskie. Mając trochę pieniędzy od ojca, urządził się on w krótkim czasie tak sprytnie, że wszyscy koledzy znaleźli się u niego — w kieszeni. Zapewniało mu to piękną przyszłość, nie tego rodzaju wszakże, o jakiej marzył dla niego ojciec.

Co do córki znowu...

Ale temu przedmiotowi dajmy lepiej pokój!

* *
*

Po wielkiej katastrofie, która trzy czwarte miasteczka w perzynę obróciła, Jan Nepomucen Kopyściński zniknął mi z oczu.

Prawdopodobnie już nie żyje.

Syna jego widuję niekiedy w Warszawie, w towarzystwie ludzi „solidnych.“

Ma on taką samą ogórkowatą głowę, jak ojciec, i tak samo jak on, wystrzyga się i wygala. Nosi bardzo przyzwoity, rzekłbym nawet: elegancki cylinder, i jest posiadaczem ogromnego złotego zegarka z taką dewizką. Zawsze w twarzy jak w ubraniu tego młodzieńca przebija się wielka dostojność, i jestem pewny, że nie przyjąłby on od nikogo nie tylko grosza, ale nawet rubla — chyba może dopiero trzy lub cztery ruble...

lony z losu, wierzy w ideały dalekie; nie widząc zaś w bliskiej przyszłości zmiany na lepsze, nie umiejąc działać, staje się rzecznikiem postępu, tłomaczem myśli wzniosłych, lecz cudzych; mówi pięknie, ale mówi zdania nie swoje i choć w nie wierzy, ale frazesem bez czynu zadowolić się nie może; chce innym rozjaśnić drogę życia, a sam, dręczony nieujętem pragnieniem, dąży do jakiegoś mglistego celu, w pochwyceniu którego rzeczywistość na poprzek mu staje. Życie swoje całe zmarnował, przegadał i umiera nie uczyniwszy nic zgoła. „Frazes mnie zgubił“— powiada sam o sobie.

Za wierne określenie charakteru Rudina należy uważać jego własne, w chwili szczerości, w liście do Natalii, wypowiedziane słowa: „Natura dała mi wiele, ale umrę, nie uczyniwszy nic godnego sił moich. Brakuje mi... czego mi brakuje? Brak mi tego, czemby serca ludzi poruszać można było; zatem los mój jest prawie komiczny: chcę i nie umiem oddać się cały.“ Brakowało mu nie tego, co serca ludzi porusza, ale wytrwałości, woli. Ulegał silnie wrażeniom chwili, zapalał się łatwo i gasł; szkodliwym nie był nigdy; chwiejność jego charakteru stawała się jego własnem nieszczęściem.

Gdy rozpoczęte z Natalią czułe gruchanie cokolwiek brutalnie przerywa i w odpowiedzi na jej namiętne „jestem twoją“ wyjeżdża, wyświadcza jej mimowolną przysługę. Niesłusznie też autor wyjazd Rudina zdaje się tłomaczyć na jego niekorzyść: jeżeli, czy to z wyrozumowanego poczucia obowiązku, czy z powodu beznamiętności swojej, czy nawet z obawy następstw—nie zrywa kwiatka, który się pod jego tchnieniem rozwinął, nie za winę, lecz za zasługę, choćby bezwiedną, poczytać mu należy. Egoizm, próżność, lenistwo i chwiejność obok pewnej szlachetności, zaparcia siebie i ruchliwości — słowem suma pierwiastków ujemnych i dodatnich składa się na tę dziwną mieszaninę, na naturę zagadkową frazeologa.

Autor kryje się ze swemi uczuciami dla bohatera, a jego otoczeniu każe wypowiadać najsprzeczniejsze zdania. Leżniew, człowiek poniekąd trzeźwo na rzeczy patrzący, mówi naprzykład: „Rudin niewiele umie; zimny jak lód, a udaje płomienistego: lubi żyć na cudzy koszt, komedyant, gra ryzykownie, ale sam ani grosza nie stawia, gdy inni stawiają całą swą duszę; nieuczciwy aktor — nie mężczyzną jest, lecz kokietką...“ Ale mówi to — zazdrosny kochanek. Przy spotkaniu się z Rudinem, podstarzałym i zgnębionym, powiada do niego: „Rozmaicie rozpoczynałeś swą pracę, ale zawsze kończyłeś ją ofiarą z korzyści swoich osobistych. Nie robak, nie duch niespokojny cię trapi, ale ogień miłości prawdy w tobie płonie. Drogi nasze są różne: ja, mając byt zapewniony, mogłem być widzem, siedzącym z założonemi rękami, ty musiałeś się trudzić, pracować.“ Chyba widok przedwcześnie posiwiałych włosów i podartego tużurka za daleko Leżniewa uniósł; bo co do pracy, to ta zawsze najmniej się udawała Rudinowi. O wiele sprawiedliwszym jest sąd Leżniewa, gdy, jako szczęśliwy małżonek, mówi o swym koledze: „Nie jest aktorem, ma wiele szczerego zapału, entuzyazmu i dzięki mu za to, że potrafił nieraz poruszyć i rozgrzać serca. Nie uczynił sam nic, bo ma indywidualności za mało, ale czyż nie przyniósł korzyści?“...

Jakże różnym w porównaniu z ruchliwym Rudinem, dającym się unieść najlżejszym podmuchom świeżego prądu, jest Ławrecki, ociężały słowianofil, urodzony w starem, ciepłem, ale bardzo ciasnem *Gnieździe szlacheckiem!* Wychowanie jego było żartem ze zdrowego rozsądku. Ojciec chciał uczynić z niego spartanina; w tym celu ubrał go po szkocku, przyjął guwernera szwajcara, guwernantkę szwedkę, kazał go uczyć prawa międzynarodowego, heraldyki, stolarstwa i matematyki. Sam był w gruncie anglomanem, udającym patryotę, zamyślał zaprowadzić wiele zmian w swoim majątku, a ostatecznie zmienił tylko liberyę i meble; od teoryj szeroko liberalnych przeszedł do ciasno despotycznych, prowadził syna na pasku; umarł, zostawiwszy mu przy zupełnym braku samodzielności dość znaczny majątek. Choć krępująca obręcz władzy ojcowskiej pękła, młody Ławrecki bez pomocy ludzi ruszać się nie umiał. Otoczenie jego stanowiły innej odmiany, ale tegoż co i on gatunku wytwory szlacheckie. Widzimy tam złotego młodzieńca, który zbadał wszelkie tajemnice tak zwanego wielkiego świata, kobiety próżne, leniwe, kapryśne, stare dzieci lub obdarzone pewną siłą uczucia, ale pozbawione woli, sfanatyzowane, bierne istoty. Wpływ podobnego rodzaju osobników rozbudzeniu się energii w młodym Ławreckim nie sprzyjał; rusza się on też ruchami automatu, śpi i nic zgoła nie robi, a zapewnienie: „będę ziemię orał,“ pozostaje ładnie brzmiącym frazesem.

Ujemne postacie Rudina i Ławreckiego stworzyły pytanie: czyż typów dodatnich, ludzi czynu w Rosyi nie ma? Jakby w odpowiedzi dał Turgeniew powieść *W przeddzień* z Insarowem i Heleną, jako bohaterami na pierwszym planie. Helena—to zupełnie nowo pomyślany i odczuty, a nawet jak gdyby przeczuty typ kobiety rosyanki. Od dzieciństwa była niepodobną do innych dziewcząt jej sfery i wieku: w arystokratycznej klatce było jej za ciasno, pragnęła zmiany, ruchu, możności działania; wszyscy uciśnieni i pokrzywdzeni zajmowali ją najbardziej, myślała czasem, iż pragnie czegoś, o czem nikt jeszcze w Rosyi nie myśli.

Bulgar Insarow, umysł szeroki i jasny, natura szlachetna i energiczna, cały oddany sprawie wybawienia swej ojczyzny z pod ucisku turków, był duchem pokrewny Helenie i musiał ją silnie zająć. Gdy mówi do niej: „Kraj nasz depczą i gnębią, wszystko zabrali, i kościoły, i prawa, i ziemię, nas wypędzają nienawistni turcy, nas kraj! — ja pragnę wybawić ojczyznę!..“ ta wie, iż on nietylko mówi, ale działa i działać będzie, bo oddał się cały swej sprawie. Chęć zemsty osobistej w sobie stłumił, aby ze świętą ideą wybawienia ojczyzny żadne inne nie łączyły się cele; miłość ukochanej gotów jest odrzucić, gdyby miała na jedną minutę urzeczywistnienie się idei opóźnić. Chory, znękany jedzie do Bulgaryi jako jeden z agitatorów szykującego się tam powstania. Helena rzuca dom rodziców i pospiesza za męczennikiem, szczęśliwa, iż jej właśnie sądzono scałować pot z bladego, znużonego czoła.

W przeddzień jest skończonym poematem miłości, którego stronę psychologiczną autor traktował z głęboką znajomością natury ludzkiej, akcyę przeprowadził z realizmem, nieprzekraczającym granic estetycznego wdzięku. Helena nie pokochać Insarowa nie mogła; wzajemna ich miłość wypływa z naturalnego biegu spokojnie, łagodnie, a następnie potęguje się i staje pochłaniającą siłą, która do żadnej konwencyonalnej miarki przykroić się nie da. Insarow umiera w drodze do ojczyzny. Zamiary jego były za wielkie, a organizm fizyczny za słaby: spalił go szczytny płomień, co w nim płonął i innych rozgrzewał. Helena zostaje w ojczyźnie kochanka. „Co robić w Rosyi?“ rzuca pytanie bez odpowiedzi.

Jako przeciętne typy społeczne, nad wszelki wyraz sympatyczne, postacie tej pary nie miały dla rosyan znaczenia. Insarow nie był i „nie mógł być rosyaninem.“ Gdyby Rosya takich Insarowych posiadała, Helena nie szukałaby innej ojczyzny. Silna duchem i wolą ta postać wyprzedziła swój wiek, a że nie miała w literaturze rosyjskiej poprzedniczek, nie przechodziła stopniowych faz, ani należycie zrozumianą ani objaśnianą w swym czasie być nie mogła. Zabłąkała się pod ruskie niebo jakoś przypadkiem, ale raz porzuciwszy Rosyę, już do niej nie wróciła, bo zbyt osamotnioną się czuła. „Co robić?“ rzuca pytanie. Tak zapytuje jednostka, która przed polem, do uprawy którego tysiące rąk potrzeba, sama jedna stoi. (D. c. n.)

DWA BUKIETY POETYCZNE.

II.

Jeżeli zgodzimy się na to, że poezya jest wytworem uczucia, nie szukajmy i nie podkreślajmy jej sprzeczności. Uczucie bowiem nie przedstawia w nikim logicznego ciągu. Ten sam przedmiot budzi w niem najbardziej niepogodzone wrażenia. Gdy poeta opisuje burzę jako zjawisko natury, będzie określał jej wspaniałość barwami zachwytu; gdy zaś wyobrazi ją sobie jako niszczycielkę, przeklnie tego piorunami ziejącego smoka. Raz, rozepnie na krosnach swej imaginacyi mitologiczną bajkę, innym razem naukowy wywód kosmologii. Konsekwentnego w swych twierdzeniach poety nie znamy i prawdopodobnie nie doczekamy go się nigdy.

Z tego względu nie podnosimy sprzeczności w utworach Konopnickiej. Roją się one —i według nas, sumienia wieszczki nie obciążają grzechem. Kto z nas, najtrzeźwiejszych, nie czytał z zajęciem fantastycznych opowieści, które umieją sidłać wyobraźnię i usypiać zdrowy rozum? Jeżeli prawo takiego dobrowolnego łudzenia się służy czytelnikom, dlaczego miałoby ono być odmówione autorom? Gdyby Darwin był poetą i napisał wiersz o stworzeniu świata według Genezy biblijnej, nie osadzilibyśmy go za tę sprzeczność w filozoficznej kozie. Wielu bardzo ścisłych i materyalistycznych przyrodników odznaczało się bigoteryjną pobożnością. Fakt dziwny, jest przecie zrozumiałym, gdy zważymy, że wyobraźnia czepia się chętniej tych wątków, które ją czarują urokiem, niż tych, które ją olśniewają prawdą. Jest to ptak, który zawsze przeniesie niepewność szerokiego przestworza nad bezpieczeństwo i wygodę szczupłej klatki. Jakie zasady filozoficzne wyznaje poeta, dokładnie nigdy nie wiadomo; co najwyżej ze sprzecznych sił, poruszających jego uczuciami, można wyprowadzić wypadkową, która sprzeczności nie znosi, ale pewnemu skierowaniu ducha nadaje przewagę. Kto zdoła wykryć wspólny mianownik filozoficznych i socyologicznych przekonań Mickiewicza lub Słowackiego? Byli katolikami i nie byli, byli szlachcicami i nie byli — zależnie od nastroju. Takim samym przemianom ulega Muza Konopnickiej, chociaż przeważnie w natchnieniach swoich jest ona z wielu przesądów religijnych i społecznych wyzwoloną, a nawet— jak rzekliśmy — rozumuje.

Do myślowych powikłań przyczynia się istota talentu naszej autorki i jego zasoby.

Konopnicka jest naturą nerwową, rozdrażnioną, silnie odczuwającą bóle własnego serca i jęki świata, a nieznającą często tych balsamów, które już wiedza na rany ludzkości przygotowała. Jest ona córką swego wieku, ale raczej jego prądy przeczuwa, niż pojmuje, więcej odżywczych pierwiastków wprowadziła do swej krwi wdychaniem świeżej atmosfery, niż spożywaniem posilnych pokarmów. Polska ostatniego stulecia uczonych poetów (jak np. Niemcy) nie miała. Najwykształceńszy z nich Mickiewicz powierzał się natchnieniom nawet tam, gdzie mu one wiedzy zastąpić nie mogły. Konopnicka również w tym swego czasu wpada głównie intuicyą —

i dla tego nuty jej, chociaż do kamertonu obecnej doby dostrojone, chociaż w sercach młodego pokolenia oddźwięk znajdują, są często niedość wysokie i nie dość silne.

Dla zapełnienia tego niedostatku musi tu i owdzie wplatać lub nawiązywać zdawkowy frazes. Gdy śpiewaczce głosu brak, nadrabia ona efektownym ogólnikiem. Komunał taki, rzucony z estrady na koncercie, śród słuchaczów oceniających poezyę tylko uchem, ręce do oklasku może poruszyć, ale sercem rozważnego czytelnika nie wstrząśnie — czy to błyśnie „przepaściami toczącemi (?) skałę Syzyfową,“ czy ukaże „miłościwe (?) dla smutku błękity.“

Frazes jest podszeptem dyabła, kuszącego nieopatrzną wyobraźnię. Ile razy Konopnicka mu ulega, zawsze psuje sobie najpiękniejsze obrazy i targa logikę porównań — tych najważniejszych środków poetycznych. Mickiewicz, niedościgniony mistrz w przenośniach, pozostawił swym następcom wspaniałe wzory utrzymywania się w konsekwencyi metafor. Rzecz prosta, że i one muszą mieć swoje prawa. Jeżeli coś porównam jednocześnie z wodą i ogniem lub każę wodzie palić się a ogniowi twardnieć, chociażbym najpiękniej te figury wyraził, powstanie bezsens lub co najmniej obraz niewyraźny. Otóż Konopnicka ten wypadek nieraz przeocza. Jeden przykład:

O nocy cicha, o nocy majowa,
Korony Boga blada (?), chłodna *perło*,
Ty jak tęsknoty bezsennej *królowa*
Nad ziemią wznosisz swoje *berło*.

A zatem: noc jest jednocześnie „perłą korony“ i „królową, która wznosi berło.“ Czy te dwie logicznie sprzeczne przenośnie, na pozór piękne, w połączeniu dają obraz jasny?

Nie poszukujemy usterek dalej. Chociażbyśmy wyłowili je wszystkie, nie połkną one pereł w koronie poetki i nie wytrącą jej berła.

Całkiem inny umysł odbił się w drugim zbiorku poetycznym—p. Kościelskiego*).

Chociaż z wydanej „seryi pierwszej“ ani miary talentu autora, ani jego pobudzeń dokładnie poznać nie możemy, pewne jednak różnice wyskakują dość wypukle. Przedewszystkiem nie jest to duch niespokojny, wrażliwy, żalem przesiąkły i w melodyach ludowych najsilniej natchniony, a w formie błyskotliwy, lecz umiarkowanie czuły, przeglądający się w świecie, jak w zwierciedle, na którem znajduje tylko drobne skazy.

Bo pięknym jest ten boży świat
I pięknie w nim człowiekiem być.
. . . .
Nas tytanowy nawet trud,
Nie wzniesie aż do nieba,
A tu na ziemi szczęścia w bród!
Tylko je podjąć trzeba.

Chociaż umieszcza w swej piersi wulkany, dymią się one niegroźnie, a gdy wybuchają, nie rozdzierają swego krateru. P. Kościelski pogodnie lub z lekkiem zachmurzeniem rozmyśla a wesołość lub smutek swych myśli przerzuca na widoki natury lub życia, które jego uwagę zajmą. Tym sposobem tworzy obrazki z podpisami — filozoficznymi. Tak np. patrząc na czaszkę, w której uwijają się mrówki, powiada.

I może większa pożytku siła.
Kształt w niej obleka
Niż w owych czasach, gdy się roiła
Myślą człowieka.

Ponieważ „z burzy serca, z podmuchów rozpaczy“ poeta unosi „dobro najwyższe: pokój ze światem i sobą,“ ponieważ wyznaje, że na świecie „warto cierpieć — kochać — żyć,“ a na ziemi „szczęścia w bród“ — więc też, w silnem przeciwstawieniu do Konopnickiej, maluje dolę człowieka barwami jasnemi, a do chronicznych cierpień powodów niema. Czy wśród uroków gór, czy przed majestatem morza, czy nad drobnymi potokami życia zawsze i wszędzie jest optymistą, którego los, nawet w chwilach smutku, strapieniem nie gnębi, tylko mu wrażenia zmianą widoków urozmaica.

Nie będziemy porównywali i oceniali nastrojów duszy p. Konopnickiej i p. Kościelskiego, gdyż zarówno jej pesymizm, jak jego optymizm w zasadzie swojej są równouprawnione. Ale winniśmy zaznaczyć różnicę w poetycznem wyrażaniu uczuć. Otóż p. Kościelski formę swych utworów traktuje lekko. Nie waha on się „splatać woni w *wianek*,“ uznawać, że „piękna *towarzysz* prostota,“ „niecić chwilę,“ dostawiać ryzykowne rymy, nawet gwałcić prawa języka. Naturalnie są utwory od tych ułomności wolne, są bardzo podniosłe (*Głosy dwu epok*, *Symfonia cmentarna* itp.) a niemal wszystkie ozdobione jakąś rozumną sentencyą. Jak zręcznie umie nieraz autor podkładać swe rozmyślania pod widoki natury, dowodem wierszyk *Semper idem*:

Na dnie stu bitew łupy bieleją
Rozbite nagle,
A na powierzchni wzdęte nadzieją
Młodzieńcze żagle.
Na dnie niejedna ludzka myśl cicha
I szczątki łasztów,
A na powierzchni ta sama pycha
Wyniosłych masztów.
Na dnie korale, perły, potwory
I ludzka goleń (!)
A na powierzchni niepokój chory
Wszystkich pokoleń.

Na końcu zbiorku mieszczą się przekłady: z Heinego, Goethego, Puszkina, Longfellowa i innych.

A co mamy powiedzieć o przekonaniach filozoficznych i społecznych autora — o ile one w pewien łączny szereg złożyć się dadzą? Socyolog twarz zasłonił, filozof jest angielskim teistą, który Boga za jego mądrość uwielbia, ale do nieba ciągłych interesów niema.

H.

*) *Poezye*, serya pierwsza, Kraków, Gebethner i Wolff.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

Dr. A. Skórkowski. **Rys nauki o śmierci**, Warszawa.

Usadowiwszy się w Medowatej na Ukrainie, dr. Skórkowski przysyła nam do Warszawy od czasu do czasu jakiś owoc swych prac filozoficzno - przyrodniczych. Nasza uboga w tego rodzaju dziełka literatura powinna czuć wdzięczność dla ukraińskiego badacza, któremu, jeżeli zbywa na oryginalności, to nie brak za to głębokiej wiedzy i daru jej uprzystępniania.

Leżąca przed nami dość spora, bo przeszło 100 stronic zawierająca broszurka, w krótkim, ale pełnym treści zarysie mieści w sobie to wszystko, co zdołali powiedzieć uczeni o śmierci i stosunku jej do zjawisk życiowych. Pracę swoją rozpoczął autor słówkiem wstępnem o życiu, podając cały szereg mniej lub więcej trafnych jego określeń i zatrzymując się dłużej nad definicyą Spencera, której widocznie największym jest zwolennikiem.

Ogólne uwagi o śmierci, śmierć cząstkowa czyli molekularna, obszerniejsza ocena zasług i poglądów naukowych Bichata, przegląd rodzajów śmierci, niewielki traktat o konaniu, nauka o śmierci pozornej i rzeczywistej, sprawdzenie zgonu i zmiany pośmiertne — oto jest obfity materyał wykładu autora. Chociaż specyalista nie znajdzie tu odkryć nowych, zwykły czytelnik odnieść może wielką korzyść. Dodajmy nadto, że język w broszurze starany, a czasem, jak w rozdziale ostatnim — bardzo poetyczny i obrazowy.

Tem chętniej oddajemy zasłużone pochwały, ile że i o stronach ujemnych słów kilka powiedzieć wypadnie. P. S. byłby znakomitym popularyzatorem wiedzy przyrodniczej, gdyby mu na zawadzie nie stawała dość często jego... niecierpliwa erudycya. Jasny i potoczysty swój wykład przerywa od czasu do czasu francuskiemi, niemieckiemi, łacińskiemi a nawet angielskiemi cytatami, których najczęściej nie tłomaczy. Widocznie p. S. przypuszcza, iż skoro w Medowatej jest choć jeden poliglota, w Warszawie musi być ich bardzo wielu. Otóż tak nie jest. Ujemnie również na wartość dziełka wpływa zbyt obfita domieszka takich słów obcych, jak: *dekapitować*, *acefalowani* i t. p.

Do najcięższych jednak zarzutów upoważnia filozofia pana S. W jednym z odczytów swoich w Ratuszu, hr. Dzieduszycki miał nieszczęście przepowiedzieć zjawienie się jakiejś specyalnej *polskiej* szkoły filozoficznej. Od owej chwili dzieci sarmackie poczęły na wyścigi szarpać i krajać poważną szatę „nauki nauk,“ chcąc z niej sporządzić coś nakształt filozoficznego kontusza; ale ciasny gorset dualistów, wygodny szlafrok pozytywistów i surowa odzież monistów nie mogą jakoś pod nożycami naszych krawców utworzyć harmonijnej całości.

Co do p. S., to kierunku jego filozofii ochrzcić niepodobna. Pozytywistą nie jest, gdyż z przyjemnością wielką mówi o takich rzeczach, o jakich pozytywizm pensyonarzom i pensyonarkom swym mówić zabrania; dla dualizmu żywi uczucie o tyle podejrzane, iż często żartuje sobie z jego doktryn, ale i na monizm krzywym jakoś spogląda okiem, i to — jak właśnie chcę dowieść — całkiem niesłusznie.

Przedewszystkiem nie zgodzę się z p. S. na to, iż „postęp nauk przyrodniczych nie opiera się bynajmniej na filozoficznych teoryach“ a nie zgodzę się nietylko przez wzgląd na Darwina i Bichata, ale i z uprzejmości dla samegoż autora, który nieco dalej powiada: „hipotezy nietylko są dozwolone, lecz nawet konieczne... i wdzierają się jakby przednia straż w dziedzinę jeszcze nie poznaną, przygotowując w niej zdobycze naukowe.“

Ponieważ tedy filozofować wolno i przyrodnikom, więc postaram się przekonać autora o niesłuszności czynionych przezeń monizmowi zarzutów. Nieprawdą jest najprzód, że *tylko* zjawiskami życia kieruje jakieś niezmienne prawo według stałego planu. Taką samą stałość spostrzegamy i w zjawiskach chemicznych, fizycznych i in.

Teoryi wykluwania się najniższych organizmów z państwa minerałów bynajmniej nie podkopują odkrycia naszych i obcych uczonych o budowie protoplazmy. Wiemy przecie, że i ciała mineralne przybierają czasem ściśle określone kształty; biologia zaś najpierwszych hypotetycznych ustrojów dowodziłaby tylko, że zwykła nasza krystalografia całego tych kształtów bogactwa nie wyczerpuje.

Materyalizm bynajmniej nie zaprzecza nieśmiertelności duszy, jeżeli pod tem wyrażeniem rozumieć będziemy przemianę sił duchowych na fizyko-chemiczne. Z takiego jednak pojmowania rzeczy nie wynika bynajmniej, aby czyjaś np. samowiedza indywidualna istniała wiecznie *jako taka*, podobnie jak z faktu istnienia elektryczności w danym ciele nie wynika wcale, że elektryczność ta nie zamieni się nigdy na cieplik lub światło, że na wieki pozostanie elektrycznością. Pogląd monistów jest tak dalece filozoficznym, iż nie

sprzeciwia się wcale nawet naukowo pojętej metampsychozie. Zdarzyć się bowiem może, iż samowiedza danego osobnika, uległszy przemianie np. na elektryczność lub ciepło, skojarzy się kiedyś z innemi fizyko-chemicznemi siłami i wejdzie, jako część składowa, do *samowiedzy innego jakiegoś organizmu.*

Przestańmy upatrywać sprzeczności tam, gdzie ich niema.

J. K. Potocki.

Z FRANCYI.

3 czerwca.

Nieciekawy kongres. — Nuda za powagę. — Radzca w niebezpieczeństwie. — Wspomnienie polskiej bajki z powodu francuskiego senatora. — Liczne karyery nieboszczyka Laboulaye'a. — Niefortunny kałamarz.— Literackie nowości. — Tendencya Copéego. — „Kawałek chleba.“ — Epos i cacko. — Wycieczki przeciw zolistom. — Prof. Marc-Monier. — Zachodni publicyści o nas.— Wykolejony.

Od 13—21 maja odbył się kongres prowincyonalny partyi robotniczej. Ponieważ obecnie widma ruchów socyalistycznych, rzucane przez mocno wypukłe soczewki reporterskiej fantazyi na płachty szpalt dziennikarskich, obowiązkowo interesują każdego, więc i o tym wypadku wspomnieć muszę, chociaż gdybym zamilczał, czytelnicy wcale by na tem nie stracili. Trzeba najprzód przypomnieć, że kongres marsylski (1880) podzielił Francyę całą, pod względem socyalistycznych organizacyj, na sześć okręgów: północny, południowy, wschodni, zachodni, środkowy i kolonie. Między corocznymi zjazdami narodowymi miały się odbywać narady prowincyonalne. Pierwszego roku poszło dobrze, ale kiedy zaraz następnego lata nadzieje, obudzone marsylskim kongresem, gasnąć zaczęły, wszystko nietylko kulało, ale groziło zupełnem zdrętwieniem. Rozdział w samem wnętrzu grup, które jeszcze w Hawrze (1881) uważały się za prawowierne, zdawało się, śmiertelny cios zada wszelkim kongresom zdyskretowanych partyj. Tymczasem okręg środkowy (*Fédération du centre du partie ouvriere*) zwołał przedstawicieli wszelkich robotniczych kół, bez względu na przeważający w nich kierunek myśli, na wspólną sesyę. Niedość na tem, organizatorzy przyrzekli, że obrady toczyć się będą bez sekciarstwa. Nadto program ułożono nietylko z pustobrzmiących uchwał co do przyszłego ustroju, ale uznano za potrzebne rozważyć też sprawy bieżące, dotyczące mieszkań, zebrań i organizacyi obecnej robotników. To też kongres odbył się o wiele poważniej niż poprzednio, można było usłyszeć nieco ciekawych uwag i przekonać się o wysokim rozwoju robotników paryskich (ostatnie dwie uwagi stosują się głównie, lub nawet jedynie, do mówców i sprawozdawców niesocyalistycznych), ale całość była nudna, usypiająco nudna. Wewnętrznych walk tym razem nie było, tylko anarchiści kilkakrotnie wkraczali, protestowali przeciwko czemuś — stąd bójki, łajania, niezbędne oskarżenia o szpiegostwo, a nawet rany, zadane nożami. Głową i duszą posybilistów, którzy, jako większość, ster trzymali na kongresie przez cały czas, był Jeoffrin; to też przeciwko niemu przeważnie członkowie grupy anarchistycznej, *Justiciers*, skierowali swoje wycieczki. Zaszła nawet potrzeba przeprowadzania obywatela-radzcy do domu pod liczną eskortą przyjaciół. W skład przedstawicieli weszło 45 przedstawicieli Izb syndykalnych i 41 reprezentantów innych grup. Ponieważ w okręgu tym leży Paryż, liczby te są bardziej niż małe.

Dnia 26 z. m. literatura francuska i wiele poważnych instytucyj straciło czynnego pracownika; umarł Edmund-René Lefebvre Laboulaye, urodzony 18 stycznia 1811 roku.

Ponieważ nasza czytająca publiczność zna go z przekładów, więc muszę mu poświęcić parę słów wspomnienia. Kiedym odczytywał liczne biografie w gazetach, ciągle mi przychodziła na myśl bajka niepamiętnego mi autora i niepamiętnego tytułu. Kaczka, mieszkanka błot pińskich, dostrzega nagle w sobie wcielenie doskonałości, bo kiedy inne twory chodzą tylko, latają lub pływają, ona posiada naraz wszystkie trzy te sztuki. Dopiero bekas jakiś, czy też któryś inny filozof zwierzęcego świata, przyprowadza ją do porządku uwagą, że nie ma ona bystrych nóg jelenia, lotu orła, zwinności szczupaka.

Laboulaye skończył wydział prawny w Paryżu. W r. 1839 puścił w świat *Histoire du droit de propriété foncière*, której tytułowa kartka oznajmia, że autor zajmował się wtedy ręczną robotą (giser). Potem pracował naukowo nad historyą kobiet, studyował Savignego, a jednocześnie adwokatował. Dzieła jego były nawet wynagradzane przez dwie akademie francuskiego Instytutu, potem został jego członkiem, jak równie i profesorem w Collège de France. W początkach siódmego dziesiątka lat przyjmuje bardzo czynny udział w politycznem życiu, pisze broszury, powieści tendencyjne, agituje przy wyborach, wydaje odezwy. Z początku walczy w szeregach opozycyi, ale rząd go robi (1870) członkiem komisyi śledczej w organizacyi administracyjnej miasta Paryża i departamentu Sekwany i demokrata zapamiętały zaleca narodowi popierać Napoleona. Do licznych tytułów, związanych z jego imieniem, tylko co nie przybyło wtedy „minister oświaty“ i jedynie formalności pewne stanęły na przeszkodzie. W r. 1871 staje się jednym z prawodawców i to nie ostatnim, bo prezydentem lewego skrzydła. W r. 1875 wybierają go na dożywotniego senatora, co mu pozwala w najwyższym stopniu rozwinąć niedosyć znany dotąd talent krasomówczy. Poważna godność wcale mu przytem nie przeszkadzała sprawować od 1873 roku do końca życia urzędu wybieralnego administratora Kolegium francuskiego.

Jeżeli rozpatrywać będziemy oddzielnie każdy z licznych rodzajów działalności zmarłego, to okaże się, że podobieństwo do owej kaczki sprawdza się ściśle. Jako uczony był wyznawcą Savignego, rozwijał myśli Montesquieugo (którego wydał) i sam nic nowego nie wynalazł i nic nie powiedział. Jako profesor mówił bardzo poprawnie, ale ani tłumów nie ściągał, ani entuzyazmu nie wzbudzał. Jako adwokat był zupełnie miernym. Jako literat miał chwile tryumfu. Oto główne jego utwory literackie: *Paryż w Ameryce* (1863, przełożone na polski), *Książę Pudel* (1868), *Abdallah* romans arabski, *Baśnie* (Contes bleus, 1863), *Nowe baśnie* (1866). Najwięcej rozgłosu zyskały dwie pierwsze alegoryczne powieści. Autor we wstępie powiada: „Nie jestem pisarzem, lecz żołnierzem, który walczy dla zwycięstwa swego sztandaru.“ Rzeczywiście w utworach tych artyzm bezpośrednim celem nie jest. W pierwszym wykazuje wyższość Ameryki (jego ideał polityczny i społeczny) nad starym światem, szczególniej nad Paryżem, w drugim ośmiesza dwór monarszy i różne polityczne przesądy. Nie można powiedzieć, ażeby L. nie miał stale mu dopisującego dowcipu, aby choć raz można było powiedzieć, że rozumuje błędnie, a jednak po skończeniu książki nie czujemy wcale żywszego zadowolenia. Początek o wiele większe sprawia wrażenie, niż koniec. Ironia Laboulaye'a ma w sobie coś jednostajnego; jednako w na pół złośliwy, na pół dobroduszny sposób ośmieszone są i oburzające dziwactwa społeczne, wady wstrętne i drobne usterki.

W politycznym zawodzie powodzenie dopiero pod koniec żywota mu się uśmiechnęło. W r. 1863, 1866 i 1869 stawiał swoje kandydatury na deputowanego i padał, sromotnie nawet. Dopiero ostatni raz w Strasburgu zyskał nieco rozgłosu; wprawdzie przeciwnik jego otrzymał o 10,000 głosów więcej, ale za to studenci w dowód uznania za program ofiarowali mu kałamarz. Po politycznym koziołku w następnym roku Ranc wystąpił przeciwko niemu z ognistą odezwą, w której wołał: *Zwróć kałamarz!* Wyrażenie to stało się bardzo popularnem. Szanowny profesor, wróciwszy po wojnie na katedrę, przywitany został krzykiem i świstaniem, kilka dni walczył napróżno z wrzawą i musiał zaprzestać na czas jakiś wykładów.

W r. 1880 spotkała go znów klęska. Marzył o fotelu wśród nieśmiertelnych w Akademii francuskiej, tymczasem poparło go tylko 6 głosów, kiedy Maxima Du-Camp wybrało 118.

Na bazarze literackim wystawił: *Vingt contes nouveaux* Franciszek Coppée i *Un détraqué*—Marc-Monnier.

Nowe opowiadania Coppéego nowemi właściwie nie są, bo przedtem drukował je *Figaro* a jedno z nich (*Wypadek*) tłomaczone było w *Prawdzie*; ale wyszły obecnie w oddzielnem, bardzo pięknem wydaniu i teraz dopiero dostały się pod sąd miejscowej krytyki. Obejrzeć je należy, gdyż są niezmiernie charakterystycznym objawem panującego kierunku. Chęć wyszukania prostoty w założeniu i wyrafinowania w języku dosięga tu szczytu. I naturalnie, jak każda tendencya — niech mi wolno będzie wypowiedzieć osobiste moje zdanie— jak najfatalniej wpływa na twórczość. Wobec doskonałej formy tem mocniej razi ubóstwo myśli. Autor rozbija przejawy życia i uczucia na najdrobniejsze pierwiastki, jak pojedyncze promyki światła przełamuje w pryzmacie najzwyklejszych zdarzeń. Gdy czytamy te opowiadania, raz po raz wyrywa się uwaga: więc cóż z tego? na co on to pisał?

Wybitnie najlepszem jest pierwsze opowiadanie: *Kawałek chleba* (*Le Morceau de pain*). Młody książę de Hardimont zajęty jest u wód leczeniem swojej klaczy. Nagle dowiaduje się o klęsce pod Reichshoffen; natychmiast rzuca wszystko i pierwszym pociągiem jedzie do Paryża. Życie złotego młodzieńca, spędzone w buduarach operetkowych gwiazd i na wyścigach, w dwudziestym piątym roku nie wrze wcale gorącym wulkanem. Ale są chwile, kiedy zapomnieć nie można wielkiej listy przodków, walczących wszędzie od wojen krzyżowych, aż do ostatnich czasów, kiedy tylko ojczyzna zawołała. Dzisiaj francuzi pobici na ziemi francuskiej, wszystka krew mu się na twarz rzuciła, poczuł jakby hańbę policzka. Wstąpił do batalionów jako ochotnik.

Wojna ze zniszczeniem, głodem, niewygodami coraz to szerzej posuwa swoje panowanie. Henryk Hardimont na warcie, niedaleko od kul nieprzyjacielskich, rozmyśla nad zmiennością losu, gorzko się uśmiecha na wspomnienie o dawnem życiu, ale nie narzeka, nie żałuje. On francuz przecie. Chce zaspokoić głód, wydobywa kawał gorzkiego, twardego suchara, nie może go ugryść, przypominają mu się łakocie kuchen paryskich i rzuca ledwie nadgryzione jadło. W tej chwili przechodzi jego kolega, podnosi wzgardzony suchar i ze smakiem go spożywa. Delikatny panicz przeprasza niewybrednego towarzysza, lecz ten przekonywa go, że w tem nic szczególnego niema, że dla niego nie nowina zbierać strawę w rynsztoku, na ulicy. Jean-Victor opowiada swoje niewesołe życie, spędzone w wiecznym głodzie, w wiecznem przygnębieniu. Jakaś nić żywszej sympatyi zawiązuje się między tymi dwo-

ma ludźmi i książę przyrzeka ją po wojnie skończonej uświęcić poprawieniem losu niespodziewanego przyjaciela. Tymczasem w nocy wołają Hardimonta na wartę, lecz niepodobna przerwać twardego snu młodzieńca i Jean-Victor idzie zastąpić przyjaciela. Następnego ranka książę dowiaduje się, że biedny chłopak poległ w jego zastępstwie.

Sporo czasu upłynęło. Noc. Z klubu wychodzi książę Hardimont i hrabia de Saulnes, idą piechotą. Książę spostrzega kawałek chleba na trotuarze, podnosi go, obciera własną chustką i kładzie na ławce.

— Co ty robisz—zawołał hrabia, wybuchając śmiechem. Zwariowałeś?

— To wspomnienie pewnego biedaka, co umarł za mnie — odrzekł książę głosem drżącym nieco od wzruszenia — nie śmiej się mój drogi, sprawiłeś mi przykrość.

Co za temat wspaniały. Na tle niezapomnianych klęsk, pożogi wiosek, najazdu, dwie Francye takie odmienne. Jedna samowiedna świetnemi tradycyami, druga znieczulona ciężarem życia twardego. Całą epopeję możnaby utworzyć. Wielkie dzieło, dające wspomnienie chwil hańby, upadku i potem obrony rozpaczliwej, zestawienie dwóch krańcowych sfer, połączonych na polu bitwy, poruszyłoby do głębi Francyę całą. Tymczasem Coppéemu chodzi o trafne uchwycenie wpływu niezwykłego zetknięcia na duszę w rozpuście zczerstwiałą. W większej całości taki ustęp błyszczałby świetnie, oddzielnie jest tylko małem cackiem językowem.

Przeciwko naturalizmowi w ostatnich czasach krytyka francuska mocno się nasrożyła. Drobnych wystąpień naliczyć można mnóstwo. Fryderyk Brunetière, wielka powaga wśród tutejszych znawców literatury, rzucił świeżo pocisk dużego kalibru, bo książkę przeszło kilkuset stronnicową (p. t. *Le roman naturaliste*). Zdaje się jednak, że szanowny krytyk nieco za uroczyście wziął się do dzieła. Aby wykazać nicość artystyczną zolizmu, ucieka się aż do wzorów z Szekspira i wielu innych arcymistrzów pięknego słowa. Literacki naturalizm teoretycznego uzasadnienia tymczasem jeszcze niema. Owo sławne powołanie się na K. Bernarda jest sobie tylko wesołem uniesieniem skłonnej do jednostronności natury i wielu już przyrodników dowodziło, że mistrz we właściwej sferze nie został pojęty przez szczególnego wyznawcę.

Kierunek się szerzy, bo tak pcha Zolę rodzaj bądź co bądź nieposolitego talentu, i wiele różnych ubocznych przyczyn; a uczniowie rekrutują się łatwo wśród braków literackich. Na każdem innem polu, ażeby się wybić, trzeba talentu, tu formuła zwalnia od tego, krytyce się pokazuje naukowe niby prawo, wyższe nad wszelkie przesądy, a czytelników zdobywa wyuzdaną treścią. To też pomimo całej swej teoretycznej wartości wywody p. Br. zamierzonego celu nie osiągną. Każdy rodzaj zwierzyny wymaga odmiennego naboju, wróbli nie można strzelać grankulkami, dobremi na wilka.

Z tego puktu o wiele właściwszem jest wystąpienie p. Monnier z romansem *Un détraqué* (wykolejony). Autor wykłada literaturę porównawczą w uniwersytecie genewskim. Znane i pełne wartości są jego prace o Włoszech, a w ostatnich czasach dokonał świetnego przekładu *Fausta*. Jako profesor dźwięcznością głosu i manierami przypomina on p. Tarnowskiego i zwraca uwagę naszych rodaków tem, że charakteryzując literatury wszystkich narodów, leżących na północ, na południe, na zachod i na wschód od Polski—o Mickiewiczu, Słowackim, Krasińskim ani się nigdy nie zająknie.

Należy zauważyć, że wogóle zachodni pisarze w sądach swoich wykazują dziś dla nas o wiele mniej przychylności, niż przed laty kilkunastu. W dziełku *Istoriczeskaja Polsza i wielikoruskaja demokratja* p. M. Dragomanow (217 i 218 stronice) widzi w tem zjawisku wpływ *pisarzów ukraińskich*. Doprawdy nie wiem, co myśleć o takim wybryku. Bo gdyby nawet to i prawda była, to mistrzowi nie wypadało przyznawać się do uczniów z tym kierunkiem, jak wymienieni przez niego francuscy literaci (P. Dragomanow sam przyznaje, że polonofilstwo zastąpili innym kierunkiem). Dziwi to tem więcej i staje się niezrozumiałem, że niepodobna odkryć tych *pisarzów ukraińskich*. Gdyby rzeczywiście wpływ nauki tu działał, to przecie jeszcze potrafilibyśmy wytrzymać konkurencyę nawet z Kostomarowem i Kuliszem. Czy to nie grzech przeciw własnemu narodowi, że nowsi publicyści maloruscy zamiast pracować jak niegdyś czesi nad rozwojem języka ubożuchnego i nieistniejącej inteligencyi, myślą tylko o komponowaniu przeciwko nam aktów oskarżenia we wszystkich europejskich językach, niewyłączając i polskiego. (*Praca* we Lwowie, w odpowiedzi na cytowany przezemnie w przeszłej korespondencyi artykuł *Przedświtu*). Pisarzów rusińskich, z których obecnie Europa czerpać by wiedzę o sprawach sławiańskich mogła, jest prócz p. Dragomanowa dwóch aż (co do pierwszego to przypuszczam, że znaną jest powszechnie więcej sława jego. niż prace): Sergiusz Podoliński i Michał Pawlik. Nie słyszałeś czytelniku nic o nich, prawda, i nie usłyszysz napewno. Jedyną stronę odznaczającą stanowi w tych panach platoniczna nienawiść do nas. Skromnych, bardzo skromnych talencików swoich nie umieją oni lepiej zużytkować niż tendencyjnie, przedstawiając w czarnych kolorach wszystko, co polskie. Niech tam, kiedyś to się wyklaruje.

Un détraqué odznacza się przedewszystkiem bardzo poprawnym językiem i tem wykończeniem najdrobniejszych szczegółów, w którym celują francuzi, a którego nasi powieściopisarze, z małym wyjątkiem, nauczyć się nie mogą. Autor posiada wielki dowcip, to też charakterystyka śmieszności naturalizmu i przesadnie napuszonych sądów o wszystkiem (naprz. sławne: Respublika albo będzie naturalistyczną, albo wcale nie będzie) udała mu się wybornie. Rzecz się dzieje w Neapolu i okolicach. Syn zbogaconego urzędniczka, don Ruf, studyuje, w znacznej części z próżniactwa, literaturę. Najprzód zachwyca się romantyzmem, potem wpada pod wpływ pesymizmu Leopardiego, a nareszcie oczarowuje go w Paryżu naturalizm. Od tego czasu słowa, myśli, pojęcia i życie swoje nawet reguluje według recept znalezionych w „22 tomach arcydzieł z żółtemi okładkami.“ Autor zbliża wciąż prawdę życiową z jej fotografiami, dokonanemi przez zolistów, co sprawia efekt wielki, gdyż podobieństwa nie ma żadnego. Don Ruf spotyka porządnych ludzi, to go gniewa i dziwi; mistrzowie przeczą stanowczo, aby podobne zjawiska istniały; to też łaje wszelką uczciwość, jako przesąd romantyczny. Najmując mieszkanie, rozpytuje stróża, czy dom niema podobieństwa do domu Vatre'ów w *Pot-bouille'u*. Prorokuje celibat, ale zakochał się i wstępuje w związki małżeńskie z praczką w tajemnicy przed kolegami. Przesiąknięty pojęciami Zoli o cnocie kobiecej, podejrzywa żonę, a potem córkę o jakieś miłostki, czem pomaga i jednej i drugiej zakochać się mimo jego wiedzy.

Wszystko to się czyta z przyjemnością. Szkoda tylko, że autor pomysłów i spostrzeżeń swoich nie zawarł w małych obrazkach, do czego się one najzupełniej nadawały, lecz zakroił na malowidło wielkich rozmiarów. Byłby się tym sposobem ustrzegł wielu słabych stron. Najprzód, talentu twórczego p. Monier widocznie dużo nie posiada, to też braki kompozycyi wciąż się rzucają w oczy. Akcya się rwie, wpada w nieprawdopodobieństwa. Powtóre bohater, w którym widzimy odbicie naturalizmu, nie może być brany za typ ogólny; w szkicach to by było na swojem miejscu, a w romansie, obejmującym niejako całość kwestyi, stanowi słabą stronę. I nareszcie autor byłby uniknął zapewne tendencyjnych ustępów, z których jedne rażą naciąganiem faktów do założenia pomysłu, drugie drażnią ckliwością pisanego moralu, trzecie nareszcie irytują czysto protestancką paradoksalnością. Tak naprzykład spotykamy tam rozwijanie pojęć o moralności takiej metafizycznej, że nic zrozumieć nie można. Autor kilka razy nastaje na to, że nauka i religia dla tego tylko dotąd nie rzuciły się sobie w objęcia, bo się wzajemnie poznać nie chcą.

Słabe te jednak strony nikną wobec bardzo pięknych szczegółów, jakimi całość przybrana.

K. T.

SZCZĘŚCIE WOBEC PESYMIZMU *).

I.

Szczęście — czyż jest dla ludzi wyraz bardziej ponętny, czyż jest pojęcie bardziej chwiejne i względne? Zarówno myśliciel, jak i zgięty pod jarzmem pracy codziennej wyrobnik— przyznają zgodnie, że szczęście stanowi o wartości życia. Przypuśćmy, że istnieje człowiek będący sumą cnót i przymiotów najlepszych, który świadczy do koła dobrodziejstwa i przysługi ludziom a jednocześnie nie jest szczęśliwym, gdyż rzeczywistość zadaje kłam najgorętszym pragnieniom jego duszy. Rzecz jasna, że jego życie może mieć wartość dla innych, że jego cnota przyczynia się do szczęścia ogółu, ale dla niego samego życie jest ciężarem i boleścią. Jeżeli pojęcia religijne każą mu szukać szczęścia po za granicami doczesnego bytu, wtedy uważa on obecną niedolę za czasowe przejście, za próbę pokutną, jeżeli zaś niema pociechy w dogmatycznych ułudach, wtenczas może się zapyta pesymistycznie: czy wogóle warto żyć na świecie? Takie pytanie zadaje sobie i pesymizm filozoficzny, w stosunku do ogólnej wartości życia ludzkiego.

Czy warto żyć, czy suma szczęścia przewyższa brzemię niedoli, ciążące na ludziach?

Odpowiedź na to pytanie jest trudną, jak słusznie twierdzi autor rozprawy przywiedzionej w dopisku niniejszego artykułu. Zdawałoby się, że kwestyę tę powinnaby rozstrzygnąć zbiorowa odpowiedź wszystkich ludzi, gdyż sąd o szczęściu zależy wyłącznie od miary osobistej. Gdyby jednak tą drogą można było otrzymać odpowiedź, to jeszcze wartość jej byłaby wątpliwa, albowiem w układaniu bilansu szczęśliwości życia osobistego nie jeden błąd mógłby wyniknąć ze złudzeń świadomości jednostkowej, ze złudzeń pamięci oraz błędnego oceniania przyszłości. Nawet gdybyśmy tą drogą doszli do rezultatów, to powstaje pytanie, czy dzisiejsza odpowiedź miałaby wartość w przyszłości, czy rozwój rodu ludzkiego nie zmieni kiedyś danych, koniecznych dla rozwiązania tej zagadki?

Pojąć łatwo, że szczęście człowieka zależy z jednej strony od jego natury, z drugiej zaś od natury otoczenia, w którem on żyje. Badając zatem ten przedmiot na gruncie naukowym, należałoby uwzględnić wyniki wszystkich nauk, które zajmują się badaniem obu tych czynników szczęśliwości, wystudyować prawa działania otoczeń człowieka, oraz oddziaływania czło-

*) Paulhan. *Les conditions du bonheur et l' evolution humaine. Revue philosophique.*

wieka na owo otoczenie, aby ze ścisłością określić o ile stosunki stanowią o wartości życia.

Pesymistyczny pogląd na wartość życia bywa często — według Paulhana — źle oceniany, gdyż do sądów filozoficznych przyplątują się względy czysto osobiste. Teoretycy pesymizmu, którzy szczęśliwi są w życiu, ściągają na siebie szyderstwo, za to, że biadają nad nędzami ludzkości, nie znając trosk i kłopotów. Nieszczęśliwi znowu narażają się na zarzut, że świat widzą w szarych kolorach dla tego tylko, bo im nie dobrze. A jednak, mimo to, pogląd pesymistyczny ma pewną racyę bytu, gdyż na podstawie niezłomnych praw natury musi koniecznie istnieć znaczna liczba ludzi nieszczęśliwych. Wrodzone instynkty człowieka buntują się przeciw twierdzeniom, które chcą dowieść, że szczęście jest złudzeniem niedoścignionem. Myśliciel francuski, wypierający się zarówno krańcowości obustronnej, utrzymuje, że pewne fakty służą na poparcie tej teoryi, której rezultatem logicznym byłaby zupełna pogarda życia. Chociaż w rozumowaniach swoich chce obmyć z rąk pesymistyczną sadzę i stara się być bezstronnym, jednakże rozbierając bliżej stosunek postępu i moralności do teoryj pesymistycznych, przychyla się ku poglądom, które twierdzą, że „życie ludzkie złamanej szpilki niewarte.“

Wiara w rozumny rząd świata jest jednym z powodów, dla których poglądy pesymistyczne bywają odrzucone. Nawet wyzwolony od pojęć religijnych człowiek posiada wrodzone pragnienie szczęścia i sprawiedliwości. Gdy jesteśmy strapieni, zdaje nam się, że ktoś porywa naszą własność; wtedy jesteśmy nietylko smutni, ale i przejęci oburzeniem a pesymizm jest właśnie często owocem tego oburzenia. To wrodzone pragnienie jest tak silne, że nawet sceptyczne usta takiej pani Ackermann, jawnej poetki ateizmu, lubują się w ciskaniu złorzeczeń na istność najwyższą w razie, gdyby ona istniała. Nawet w odartej z dogmatyzmu filozofii pozytywistów, materyalistów i ewolucyonistów wytworzyło to pragnienie daleką od indukcyjnej ścisłości wiarę w przyszłe szczęście rodu ludzkiego. Trzeźwi skądinąd myśliciele chętnie pieszczą myśl człowieczą obrazami jakiejś odległej doby, w której wiedza zasiądzie zwycięsko na tronie duchowego życia ludzkości, podniesie kulturę powszechną do niebywałych rozmiarów i cały ród ludzki powoła do uczestnictwa w jej dobrodziejstwach.

Niewątpliwie jest pewną wiarą, że postęp ludzkości przyniesie jej większą dozę szczęścia. Czy jednak on rzeczywiście jest czynnikiem twórczym tego szczęścia? Autor francuski dochodzi do dwu wniosków, które na pozór wzajemnie się wyłączają, a jednak oba podług niego są prawdziwe: że rozwój jest koniecznym dla szczęścia człowieka i że zarazem nie pozwala mu być szczęśliwym. Szczęście polega bezwątpienia na harmonii dążeń pewnej istoty z warunkami jej bytu, czyli na przystosowaniu organizmu do otoczenia, w którem się on rozwija. Kładziemy nacisk na tę trafną definicyę, która szczęście określa jako *stosunek* zależności biologicznej. Biorąc rzeczy ściśle, pojęcie szczęścia pod względem psychologicznym odpowiada pewnemu szeregowi stanów świadomości, które wyrażają mniejsze lub większe zadowolenie z warunków bytu jednostki lub społeczeństwa.

Najlepsze nawet przystosowanie się do warunków—jak słusznie twierdzi p. Paulhan— nie może być stanem zupełnej równowagi, któryby sprowadził za sobą nieświadomość szczęścia, lecz jest stanem zmiennym i przedstawia pewne rytmiczne następstwo przystosowania i nieprzystosowania. Gdyby dążenia i cele jednostki były zupełnie zadowolone i nie odnawiały się ustawicznie, natenczas nie byłoby mowy o jej szczęściu lub nieszczęściu; ale wypadki takie w życiu się nie trafiają. W rzeczywistości widzimy co innego: gdy w osobniku lub gatunku nie wytwarzają się nowe dążenia, wtedy jest możliwem zadowolenie potrzeb wrodzonych, które się przystosowują do środka — poczem powstają nowe potrzeby i znowu szukają zaspokojenia. Osobniki, nie mogące się przystosować, nikną powoli, inne zostają i mogą używać mniej lub więcej zupełnego szczęścia. Do tego stanu dochodzą niektóre zwierzęta, szczególniej domowe, a także ludzie, którzy umieją ograniczyć swe pragnienia i nie znają gwałtowniejszych wzruszeń, którzy są niezdolni żywiej czuć i pragnąć. Oczywiście, tacy ludzie nie popychają ludzkości na drodze postępu, bo zarówno przystosowaliby się do warunków istnienia przed dziesięciu wiekami, jak do obecnych, ich nie wiele obchodzą zagadnienia wiedzy lub sprawy społeczne, które niepokoją myślicieli, usiłujących wydrzeć naturze tajniki, albo przekształcić życie ludzkości według nowych zasad. (D. c. n.)

J. Kotarbiński.

LIBERUM VETO.

List pierwszy: do Zarządu tramwajów. — Nauczyciel, podróżujący pieszo po plancie kolei. — Porównanie taksy tramwajowej z kolejową. — List drugi: do Zarządu kolei wiedeńskiej i bydgoskiej. — Odkrywanie bogatych pokładów złodziejstwa. — List trzeci: do panny Herman. — Właściwa pora odlotu ptaków śpiewających. — List czwarty: do p. M. Mazura. — Egzamin z ekonomiki, logiki i etyki. — Rewizya kieszeni. — Dwa weksle. — List piąty: do J. Lama.

Do nieocenionego Zarządu tramwajów w Warszawie.

Chociażby nawet prawdą było, co utrzymują źli i zawstydzeni kapitaliści nasi, że w przedsiębiorstwo panów jezuici belgijscy włożyli swoje mozolnie zaoszczędzone grosze i dla tego ono tak procentuje, ja jednak nie tylko czuję dla was głęboką wdzięczność za tanie i szybkie przerzucanie z miejsca na miejsce b. ofiar dorożkarzy naszych, ale radbym otworzyć nowe pole zyskom waszym. Oto, czybyście panowie nie założyli szyn wzdłuż kolei żelaznych po prawym brzegu Wisły do miejsc, w których coraz liczniej gromadzą się mieszkania letnie? Myśl ta należy nie do mnie, lecz do pewnego nauczyciela, którego w roku zeszłym spotkałem w Płudach, idącego plantem od strony Warszawy.

— Pan pieszo idzie, mając kolej? — spytałem zdziwiony.

— Za droga dla mnie — odpowiada wędrowiec.

— Jakto za droga?

— Naturalnie. Chorą żonę musiałem wysłać na wieś, środki nie pozwalają mi na prowadzenie dwu domów, więc codziennie przychodzę na obiad do rodziny, Jeździć nie mogę, bo kolej za bilet do Płudów pobiera cenę za odległość do Jabłonny, t. j. *trzecią* klasą w obie strony kop. 50, co dla mnie za wiele. Ach, gdyby tak, panie przeprowadzili tramwaj — możnaby przyjeżdżać.

— Alboż tramwaj kosztowałby taniej?

— Od rogatek powązkich do mokotowskich jest mniej więcej tyleż wiorst, co z Pragi do Płudów; tam *druga* klasa kosztuje 10 kop., tu *50*.

Rachunek ten zastanowił mnie. Zebrawszy potrzebne wiadomości, przekonałem się, że na wszystkich czterech liniach kolei po prawym brzegu Wisły opłaty do pierwszych przystanków, około których skupiają się mieszkania letnie, są pobierane podwójnie (do stacyj), czyli *pięć razy* większe niż w komunikacyi tramwajowej. Nazwałbym ten stosunek niesłychanym, gdyby cokolwiek niesłychanego pod naszem niebem narodzić się mogło. Wprawdzie np. kolej Terespolska za tę kontrybucyę zapewnia jadącym pewne korzyści i nieraz niesie ich o kilkanaście wiorst dalej, niż oni pragną, gdyż na obowiązkowym przystanku pociągu nie zatrzymuje (autentyczne), ale to nie wynagradza lichwiarsko stosowanej taksy do ludzi biednych, którzy zmuszeni są utrzymywać rodziny na wsi i często do nich lub od nich wyjeżdżać. Zważywszy to wszystko, polecam Zarządowi tramwajów pytanie: czy on nie mógłby stanąć do współzawodnictwa z kolejami?

List drugi: *Do Zarządu kolei w. wiedeńskiej i bydgoskiej.*

Winszujemy Herkulosom energii w czyszczeniu Augiaszowej stajni, nie rozumiemy jednak, dla czego ujęci „kawalerowie przemysłu“ kolejowego, wypuszczani są po cichu tylnemi drzwiami, bez zdjęcia z nich fotografii i publicznego sądu. P. A. „przywłaszczył sobie“ pomost, p. B. tysiąc beczek cementu, p. D. tail wagony i wszystkie te wielkie dzieła brzmią tylko głuchą wieścią o wykryciu „nadużyć“ i dymisyach „kilku“ urzędników. Jeżeli nazwisko terminatora, który ukradł dziesięć serdelków, przybija się w kolumnach dzienników, dla czego nazwiska złodziejów pierwszej gildyi mają być w niemej żałobie osłonięte gęstą krepą? My chcemy znać naszych dzielnych, którzy po kilka lub kilkanaście lat zatapiają ręce w kieszeniach kolei a ona choć czuje, nie widzi. A kiedy wreszcie spostrzeże, już oni o jej względy nie dbają a kary dla nich niema. Znowu po pismach biega pogłoska z zawiązanemi ustami, donosząca, że „nowe nadużycia“ wykryto. Kto — gdzie — jak — sza! Skandal pozostaje w rodzinie — a jednak szewczyk za serdelki wędruje do kozy. Z tego wszystkiego wypada, jeżeli kara powstrzymuje od wykroczeń, to może szewczyki mniej będą kradli serdelków, ale „kawalerowie przemysłu“ kolejowego wcale do swego rzemiosła się nie zniechęcą. *A propos*, co też się stało z zamierzonem stypendyum na cześć dawnego dyrektora kolei w. wiedeńskiej i bydgoskiej?

List trzeci: *Wielmożna panna Hermann, śpiewaczka w Warszawie.*

Podobno zachęcona przykładem swoich poprzedniczek i powodzeniem w Petersburgu, oraz usprawiedliwioną przez *Kuryer Warszawski* tem, że Mickiewicz wykładał w Kolegium Francuskiem, zamierzasz szan. pani porzucić scenę warszawską i puścić się w artystyczną wędrówkę za śladem najlepszych honorariów. Zamiar ten byłby w każdym razie chwalebnym, a jeszcze chwalebniejszym stanie się teraz, gdy Teatr Rozmaitości spłonął i gdy jedynym przybytkiem dramatycznej Muzy polskiej stanie się opera. Jest to najwłaściwsza pora do odlotu ptaków śpiewających. Że panią mile wspominać będziemy, że nam serce dumą uderzy po każdym odgłosie zagranicznych tryumfów, że Ci, gdy zachrypnięta powrocisz, podamy piękny bukiet i wyprawimy skrócony jubileusz— zapewniać nie potrzebuję.

List czwarty: *Wielmożny pan Mazur w Gazecie Polskiej.*

Proszę wierzyć, że gdybym wiedział, iż tak wielką przykrość sprawię szan. panu mojemi uwagami o darze Szlenkiera, byłbym ich nie napisał, tem więcej skoro po jednej stronie mam być podobno ja sam, a po przeciwnej „nie tylko jednostki i naród,“ nawet „nie tylko pojedyncze narody, lecz i cała ucywilizowana społeczność.“ No, ale stało się, i wysunąwszy ze sporu p. Szlenkiera, którego nie mniej szanuję od jego zacietrzewionych chwalców, staję przed p. Mazurem do egzaminu z ekonomiki, logiki i etyki.

W jego kazaniu czytam: Marx, Lassalle i inne potężne umysły daremnie dotąd

pracują nad rozwiązaniem kwestyi o stosunku pracowników do pracodawców. Przypuśćmy, że to jest prawdą, ale również prawdą jest, że te umysły nie *daremnie* pracowały nad zbadaniem źródeł powiększania się kapitału w rękach fabrykanta. Już dziś elementarzom gospodarstwa społecznego wiadomo, że główne swe zyski przemysłowiec czerpie z t. z. „pracy niepłaconej,“ innemi słowy, z tej nadwartości wyrobionego towaru, która mu pozostaje po strąceniu wszelkich kosztów produkcyi. Porozumiejmy się przykładem. P. Mazur ma fabrykę mebli giętych; jedno krzesło kosztuje go rs. 3, jeżeli je sprzeda za 4, to rubla zarobił na pracy swych stolarzów. Jeżeli zatem, pojmując ten proces wzrastania swego majątku, doszedłszy do pewnej zamożności, bez przymusu, dobrowolnie, obdarza swych robotników pewną pieniężną nagrodą, nie daje im jałmużny, ale spełnia obowiązek, którego uczucie może być bardzo rzadkiem, wyjątkowem, wspaniałem, tem nie mniej jest tylko poczuciem obowiązku.

W tym punkcie mogę zaczepić o logikę. Przypuśćmy, że znajdujemy się w państwie jednookich, którzy dwuokiego ogłosili bogiem. Nagle zjawia się p. Mazur i rzecze: moi kochani, bogiem on nie jest, ale jest doskonalszym i wyjątkowym między wami człowiekiem — czy to obraza dla dwuokiego? Podobnie rzecz się ma i w zajmującym nas wypadku: Gdy powiem: p. X. obdarzywszy swych robotników hojnem wsparciem, zrobił to, czego zwykle nie robią inni, chociaż spełnił swoją powinność — czy to tak dzikie? Na mój prosty rozum — dosyć logiczne.

Że spełnienie obowiązku jest czynem bardzo rzadkim, najlepiej przekonywa ów charakterystyczny wstręt, jaki do tego wyrazu poczuli moi przeciwnicy. P. Wacław Szymanowski, z obawy nacisku na swą szczodrobliwość, cofnął od sporu współpracownika i wypuścił na mnie redakcyjnego Burka, używanego stale do kończenia polemik z kim innym zaczętych a z nim nieprowadzonych. I p. Mazur nie tai dreszczu, oświadcza się przeciw obowiązkowi p. Szlenkiera, logika jednak, jak usłużna dziewczęka, podaje mu następujący dziwnie do tej opozycyi przypięty kwiatek: „Kant w swojej *Krytyce czystego rozumu* całą etykę człowieka zawarł w treściwem orzeczeniu: „spełniania swoich obowiązków.“ Kant nam się tu przyda, ale musimy naprzód od jego imienia odczepić kilka mazowieckich bączków: 1) etykę wyłożył nie w „Krytyce *czystego*“ lecz „*praktycznego* rozumu;“ 2) nie oparł jej na takiem, ale na innem orzeczeniu, mianowicie: „czyń tak, ażeby reguła twego czynu ogólnem prawem być mogła;“ 3) najwyższą godność moralną przyznawał tym postępkom, które wypłynęły z uświadomienia sobie powinności; 4) dobroczynność zaliczał także do obowiązków (szczegółowo ją określił w *Metaphysik der Sitten*, 1878 str. 302). Jak widzimy zatem, przy ściślejszym obrachunku, z „całej cywilizowanej społeczności“ wielu i to nienajgorszych znalazłoby się po naszej stronie.

Pomijam inne zarzuty p. Mazura, przygotowane według formuły: ponieważ kolor czarny jest ciemniejszy od szarego, więc szary musi być białym; dotknę jeszcze tylko jednej uwagi. Już przedtem ktoś zabrał się do kieszeni *Prawdy*, obmacał ją i wywnioskował, że my powinniśmy i *możemy* dać z siebie przykład rozdziału zysków między „czarne ręce.“ P. Mazur napomyka o tem po swojemu — grzecznie. „Krytyk — powiada on — stawia nam za wzór wielkoduszne hipotezy i wspaniałe chęci tylko, które w piśmie o zdeklarowanym praktycznym (!) i pozytywnym kierunku wyglądają na *ironię* (!)... bo są pustymi frazesami tylko.“ Kiedy nie byłyby pustymi frazesami? Gdyby wydawca *Prawdy* zgromadził swoich współpracowników i powiedział im: w tej oto kasie, panowie, są moje zyski, weźcie je, do was należą. Jeśli tego tylko potrzeba, wzywam niniejszem towarzyszów naszej pracy i oddaję im wszystko, co nam, jako odłożony kapitał pozostało. Zgoda? Mówię najpoważniej. Nie, panie Mazurze, twój strzał chybił celu. Pisma „o zdeklarowanym, praktycznym i pozytywnym kierunku“ majątków nie robią, ich redaktorzy za kilkanaście godzin dziennie ciężkiej pracy zarabiają tyle, ile poszukiwani reporterzy. To nie są wyzyskiwacze cudzych sił, nie próżniacy, których całem zajęciem jest zgarnianie prenumeraty i uczestnictwo w rozmaitych zjazdach i komitetach, to karmiciele rodzin, które ledwie wyżywić mogą, to nie bankierzy utuczeni zyskami spekulacyi, to nie pasorzyty na skórze reklamującego się handlu i przemysłu. Jeśli nie wierzysz, weź dwa weksle: jeden z podpisem moim, a drugi z podpisem tego pana, który od 20,000 abonentów żadnego podatku dobroczynności nie płaci — a przekonasz się, który ci bank lub lichwiarz zdyskontuje. Nie mój.

List piąty: *Wielmożny J. Lam we Lwowie.*

Czy to prawda szan. panie, żeś wstąpił do służby c. k. *Gazety Lwowskiej*? Pan z niej tak okrutnie drwiłeś.

Poseł Prawdy.

W PERSPEKTYWIE.

Specyalne tygodnie w życiu feljetonisty. — Energiczny stangret i uroczyste obchodzenie bożego ciała. — Łazarz w gminie. — Uchwały kłonicowo-drabiniaste i ich przyczyny. — Rozmyślanie *Gaz. Polskiej* i moje.—Agitacye i propinacye.

Są chwile, a raczej tygodnie w życiu feljetonisty, w których t. z. „objawy społeczne“ paraliżują mu wszystkie mięśnie śmiechu i każą pogwałcić najlepszy z obowiązków — rozweselania zasmuconych. Główną dzisiejszego mego smutku przyczyną jest p. Szolc-Rogoziński. Gdyby bowiem ten uczony wojak przysłał już nam jakiś opis barbarzyńskich obyczajów najdzikszych plemion, nie potrzebowałbym dręczyć się obawą, że kafrowie i hotentoci zechcą imponować nam swoją cywilizacyą. Spytajcie p. Rogozińskiego — powiedziałbym w razie potrzeby przedstawicielom Kafreryi — dowiecie się od niego, że są jeszcze dziksze, niż my plemiona. Dzisiaj jednak nie mogę pokonać w ten sposób korespondenta *Gazety Lub.*, który wymyśla nam od hotentotów z powodu następującej sielanki.

W maju r. b. we wsi Starawieś (powiat krasnostawski) popełniono kradzież 25 rs. u Jana Borowskiego, miejscowego stangreta. Podejrzywając pokojowę swej pani, *niemowę* i sierotę, poszkodowany zaczął ją straszyć i groził zemstą. Dopomagała mu w tem koleżanka posądzonej, oznajmiając biedaczce na migi, że za kradzież zostanie wkrótce powieszoną... Dodać tu trzeba, iż domniemana przestępczyni wartości pieniędzy literalnie nie znała; najlepszym jednak dowodem jej niewinności było to, że uciekając następnej nocy przed niby grożącą jej śmiercią, zostawiła w domu pościel i odzienie, których wartość przewyższała poszukiwaną na niej sumę. Przyjaciółka zbiegłej nie omieszkała też zabrać na własność połowę owych rzeczy, oddając wspaniałomyślnie drugą poszkodowanemu. Wszystkie namiętności już były ucichły, gdy zbliżył się uroczysty dzień bożego ciała. Pod nieobecność państwa zwycięski stangret umyślił pojechać na własną rękę do Bychawy, aby tam „pochwalić“ pana Boga. Po dokonaniu tego chwalebnego czynu miał już powracać do domu wraz z towarzyszem; na nieszczęście jednak przy wyjściu z kościoła ujrzał nienawistną sobie expokojówkę. Porwawszy ją w oka mgnieniu i skrępowawszy należycie przy pomocy kolegi, przywiózł nawpółżywą do domu. Tam dopiero zaczęły się na dobre tortury. Zamknąwszy się z nieszczęśliwą w osobnej stancyi, dwaj zbydlęceni okrutnicy rozebrali ją całkowicie i zaczęli męczyć na różne sposoby, już to kopiąc i bijąc nogami, wyrywając włosy i zęby, już dusząc i szczypiąc, już nakoniec nacinając zlekka brzytwą po gardle i piersiach, albo wieszając na pasku u sufitu. Tłum gawiedzi dworskiej, stojący dokoła domostwa, patrzał przez okna, nie śmiejąc przerwać panu stangretowi; słuchając jęków nieszczęśliwej niektórzy zalewali się łzami. Męczarnie przeciągnęły się od powrotu z kościoła — do godz. 10. W czasie tego rządzca majątku p. W. miał u siebie gości. Kilka razy strwożona służba dawała mu znać o dzikiem barbarzyństwie stangreta, ale.. gościnny gospodarz nie miał czasu na interwencyę. Wreszcie zniecierpliwiony wyszedł na chwilę i — wysadziwszy drzwi izdebki — uwolnił nieszczęśliwą od męki. Korespondent *Gazety Lub.*—jak mówiłem—wynurza bolesne zdziwienie, że naród cywilizowany postępuje czasem, jak kafrowie. Sądzę jednak, iż niezupełnie tak samo, ci ostatni bowiem nie byliby tego zrobili zaraz po wyjściu z kościoła — bo kościołów nie mają.

Jeszcze bardziej od postępków dzikiego plemienia różni się oryginalna filantropia mieszkańców pewnej gminy w Ostrołęckiem. Do czynów podobnych zdolnym być może tylko naród osiadły i *rolniczy*, gdyż w grę wchodzą tutaj takie narzędzia, jak *drabina* i *kłonica*.

Wezwany do chorego wikaryusz parafii rzekuńskiej, wchodząc do izby, ujrzał w jej najciemniejszym kącie istnego łazarza na garści grochowin, bez poduszki i prześcieradła. Biedak leżał cały spuchnięty, z wielką raną na nodze, a po skórze jego niby wstęgi wiły się roje robactwa... Był to 30-letni parobek — niegdyś silny i pracowity — a w owej chwili ciężką od roku złożony chorobą. Krewnych i przyjaciół nie miał — pozostawał więc na łasce gminy. Ta ostatnia, dla oszczędzenia sobie kosztów szpitalnych, na zgromadzeniu swem uchwaliła, aby „nie odsyłać już chorego do miasta, lecz aby codziennie inny mieszkaniec gminy pielęgnował go w domu swoim...“ Z powodu choroby i niedobrego doglądania biedaka, niemiły zapach i robactwo raziły każdego, kto się doń zbliżył. Dla tego też skoro miano go przenosić do następnej chałupy, przysposabiano drabinę i, kłonicami chorego na nią włożywszy, z urąganiem i wzgardą dokonywano barbarzyńskiej przeprowadzki. Opowieść ta smutne wrażenie zrobiła na zacnym wikaryuszu, który też użył całego wpływu swej wymowy, prosząc bogatego gospodarza, aby już pacyentowi tych bolesnych wędrówek oszczędził. Jakoż dowiedział się, iż po jego przemowie i wyjeździe nieszczęśliwy był przenoszonym tylko przez dni 8, po którym to czasie umarł.

Takie kłonicowo-drabiniaste uchwały gminne rzadziejby się przytrafiały, gdyby nie ów sławny brak udziału naszej inteligencyi wiejskiej w sprawach i zgromadzeniach włościańskich. Rozumie to dobrze *Gazeta Polska*, która też stara się obudzić ze snu niezaradnych mieszkańców pow. brzezińskiego. „Na przestrzeni kilku mil w promieniu nie ma wcale szkółek po wsiach, chociaż sprawozdania wmawiają, że się oświata włościan krzewi i w Królestwie...“ Na dowód owego „krzewienia“ przytacza gazeta, iż w parafii Koźle jest zaledwie 5% umiejącej czytać ludności męskiej. Miała też kiedyś ta parafia i legat na ochronę, którą zwinięto, odsyłając fundusz do banku na lokacyę. Czyż nikt się

o to nie upomni? Przed kilku miesiącami radzili włościanie na zgromadzeniu gminnem o zakładaniu szkółek; pożytku z tych narad nie odniesiono żadnego, gdyż na „nieobecnych" nie można było nałożyć składki. To też skarżą się potem chłopi w pismach ludowych. „Gadają o nas, że jesteśmy ludem ciemnym i nieużytym, lecz gdy zaczynamy przecierać oczy, to racya poprzednia w kąt... pomocy od nikogo nie mamy." Cicho dzieci — przecież to się tylko tak mówi, waszego światła nikt zbyt nie pożąda, nie narażajcie więc pism waszych na zarzut, iż kalają własne gniazdo. Zresztą spójrzcie dokoła siebie i pocieszcie się, że kościoły i szkółki niemieckie urządzone są wzorowo, i u was tak będzie, gdy zostaniecie niemcami.

Nie zawsze jednak udział inteligencyi w naradach gminy do pożądanych doprowadza wyników. Nie wiem, czy ze złej woli, czy w celu przygotowania braci do życia parlamentarnego—pewien obywatel w Lubelskiem postanowił całą „inteligencyę" na dudków wystrychnąć. Działając w porozumieniu z sędzią gminnym, przeniósł on rezydencyę sądową z wsi Ryki, która się spaliła, do swojej rodzinnej siedziby. Jest to ciche ustronie, leżące za lasami i błotami; przystępu doń broni szereg przepaścistych bagnisk i grobli. Włościanie, mający interes do sądu, będą mogli w przyszłości lepiej kraj zbadać, bo nowa rezydencya mieści się na samym brzegu sądowego okręgu. Z przenosin skorzysta naprzód sędzia, który będzie miał teraz tylko cztery wiorsty do biura i właściciel uroczej siedziby, któremu propinacya uczyni już nie 200, ale 1000 rs. rocznie. Na zgromadzeniu gminnem *cała literalnie inteligencya* opierała się bezsensownemu projektowi; ale od czegoż istnieją agitacye i propinacye?

A jednak owi „ciemni i chciwi" słowem i czynami proszą o lepszą nad sobą opiekę i kierunek. Niedawno mówiłem tu o chłopach, ratujących swą pracą i mieniem pogorzałego właściciela Policzyzny; dzisiaj znów siermiężni sąsiedzi złożonego chorobą obywatela Bukowskiego (gm. Jabłonna) pokazali nam, że umieją czuć dla inteligencyi, gdy warto, coś więcej, niż chęć „odebrania całego lasu" za serwituty.

Postępki takie chłopów byłyby tylko pocieszające, gdyby nie były — wyrzutem.

Maryan Bohusz.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 13 czerwca.

Nowe przypadłości „chorego człowieka." — Sprawy niemieckie. — Osłabienie zapału wojowniczego francuzów. — Sejm galicyjski. — Decentralizacya dróg żelaznych.

„Chory człowiek" znów przyczynia nie mało kłopotu troskliwym lekarzom dyplomatycznym. Po uskutecznionej przed kilku laty operacyi członków, przepisano mu dla wzmocnienia organizmu w postaci środków wewnętrznych — reformy, których zastosowania życzliwie podjęli się bezinteresowni niemcy. Ale czy wyniszczony organizm państwowy Turcyi dla odrodzenia się nie znajduje w sobie sił żywotnych, czy też może użyto niewłaściwych lekarstw, dość, że z każdym dniem coraz gorzej dzieje się w państwie Otomanów i tylko wzajemna zazdrość przypuszczalnych spadkobierców utrzymuje chorego przy życiu. Przyrzeczone reformy w Armenii odkładają się z dnia na dzień, wzburzenie ludności wzrasta, a rząd turecki prześladowaniem podejrzanych i pastwieniem się nad bezbronnymi dolewa oliwy do ognia.

A kiedy w Azyi rząd padyszacha traci grunt pod nogami i lada chwila oczekuje wybuchu powstania, na drugim krańcu państwa — w Albanii przyszło już do zbrojnego starcia. Odrodzona liga albańska, niezadowolona ze sprostowania granic na rzecz Czarnogórza, wywołała zbrojne powstanie plemion i obecnie żąda już zupełnej autonomii dla Albanii. W kilku potyczkach wojska tureckie pobite zostały na głowę, gubernator ściąga posiłki, ale wątpliwem się zdaje, czy armia turecka ruch ten wkrótce przytłumić zdoła. Na czele buntu stoją katolickie plemiona, dążące do oddania się pod opiekę Austryi. Od lat kilku propaganda austryacka, której głównymi agentami są franciszkanie, pracuje skrycie i wytrwale w Albanii. Czy Austrya zechce wmieszać się do działań i rozszerzyć zabór aż do Saloniki — nie wiadomo, a chwila zdaje się nie odpowiednia; ale czarnogórcy zapewne przyjmą udział w walce, bo o nich tu głównie idzie. Zresztą albańczycy naruszyli terytoryum księstwa, jest więc wyborny powód do bijatyki i zdobycia nowych trofeów, w postaci oberżniętych uszu i nosów nieprzyjacielskich. Za Czarnogórzem pójdą inni, jednem słowem zawierucha albańska doprowadzić może do poważnych zawikłań.

W przewidywaniu tej możliwości książe Bismark uwinął się z budżetem na rok przyszły. Układy z Kuryą idą oporniej, gdyż Rzym nie zgadza się na stawiane mu warunki. Ostateczne jednak porozumienie niezadługo powinno nastąpić, bo kardynał Jacobini zachorował nagle i lekarze nakazali mu udać się do Kissingen, dokąd także w końcu bieżącego miesiąca wyjeżdża książę Bismark.

Wojowniczy zapał francuzów słabnie po mału, perspektywa wojny z Chinami, na którą trzeba będzie niemało grosza i ludzi poświęcić, nie uśmiecha im się wcale. O odwrocie, naturalnie, mowy być nie może, ale umiarkowańsi radzą poprzestać na zbombardowaniu portów a zajęcie Tonkiku odłożyć do lepszych czasów. W ten sposób śmierć Riviera ma być pomszczoną i honor Francyi ocalony — nie ma co mówić — ładny sposób!

Gazety pomieszczają już dokładne wiadomości o przyszłym składzie galicyjskiego sejmu. Przewagę mieć będą konserwatyści, chociaż stańczycy ponieśli porażkę. Główny liczebnie zastęp składają posłowie nieokreślonej ściśle barwy, ale, bądź co bądź, zachowawczych usposobień. Podwoiła się także liczba tak zwanych „ateńczyków," którzy pod wodzą hr. Dzieduszyckiego utworzyć mają lewy środek i należyć do opozycyi. Klub postępowy liczy zaledwie 18 członków. Sejm mieć będzie wybitnie szlachecki charakter — na 150 posłów wypada aż 85 właścicieli ziemskich, między którymi połowa utytułowanych.

Decentralizacya kolei państwowych austryackich nastąpi z pewnemi zmianami. Naczelne kierownictwo pozostanie w Wiedniu, a we Lwowie, Pradze i Tryeście założone będą właściwie tylko dyrekcye techniczne. Ta tak drobna łaska wywołała jednak lamenty centralistycznej prasy, dowodzącej szkodliwości decyzyi rządowej ze stanowiska wojskowego, przy uruchomieniu armii. Podobno nawet minister wojny hr. Bylandt zamierza z tego powodu podać się do dymisyi. Będzie inny.

KRONIKA BIEŻĄCA.

P. Reszke w dalszym ciągu swej hojnej ofiarności, po koncercie na dochód Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, ofiarowała się z gotowością śpiewania na restauracye Teatru Rozmaitości. Przykład godzien szacunku i naśladowania.

Szkoły. We wsi Orłowie (pow. krasnostawski) zapis hr. Kickiego zaczyna wchodzić w wykonanie, rozpoczęto już budowę szkoły dla oficyalistów wiejskich; w bieżącym roku ma być również wzniesiony budynek dla wzorowej szkoły ludowej.

Ustawa uniwersytecka. Od przyszłego roku szkolnego ma być wprowadzoną w uniwersytetach nowa ustawa; na zasadzie jej studenci mogą wybierać profesorów, kurs nauk dzieli się na semestry, pozwala ona wreszcie wykładać prywatdocentom itd. Jednem słowem uniwersytety rosyjskie zbliżone będą do niemieckiego wzoru.

Ograniczenia. W Prusach wydano postanowienie, wymagające od pragnących wejść do służby sądowej urzędowego poświadczenia, że posiadają środki utrzymania do wysokości 1000 marek rocznie, tudzież, że nie mają żadnych długów. Wskutek tego młodzież uboga po ukończeniu uniwersytetu ma dla siebie faktycznie zamknięty zawód sądowy.

Zapis. Jeden z obrońców i wykonawców ostatniej woli Sierakowskiej wypracował projekt użycia pozostałych sum: obywatele ziemscy podupadli tytułem zapomóg otrzymają 25,000 rs.—kasy rzemieślnicze w Warszawie i Płocku po 25,000 rs.—szpital dziecięcy 25,000 rs.; szkoły realne w Łowiczu i Włocławku po 25,000 rs.—na stypendya dla synów podupadłych obywateli i rzemieślników; szkoła weterynaryjna w Warszawie i Instytut agronomiczny w Puławach po 25,000 rs.—na stypendya dla synów podupadłych obywateli i oficyalistów, wreszcie warszawski instytut głuchoniemych i szkoła 4-klasowa w Lipnie również po 25,000 rubli.

Ciekawa nominacya. Papież Leon XIII dekretem zamianował św. Wincentego a Paulo opiekunem wszystkich stowarzyszeń katolickich we Francyi.

Bogactwa kopalne. We wsi Krzczonowie, (w Lubelskiem) natrafiono na pokłady węgla kamiennego.

Wynalazki. *Gazeta Lwowska* donosi, że z rozkazu francuskiego ministeryum poczt i telegrafów odbyły się próby nowego aparatu telegraficznego, wynalezionego przez dra Ochorowicza. Próby wypadły nader pomyślnie.

Dar. P. Karol Lanckoroński przysłał w darze uniwersytetowi Jagiellońskiemu 8 pak odlewów gipsowych z najpiękniejszych rzeźb, odnalezionych w ostatnich czasach w Atenach.

Akcyza od cukru. Od 1/13 lipca akcyza od cukru zostaje znacznie podwyższona.

Bibliografia polska. Julian Sypniewski *Owczarstwo.* Zeszyt V i VI zawierają: Hodowlę owiec, Embryologię, Naukę o żywieniu, Pranie, strzyż i sprzedaż wełny, Choroby owcze i sposoby ich leczenia. Warszawa.

— *Materyały do dziejów farmacyi.* Zeszyt II urządzenia aptekarskie.

— Edmund Jankowski, *Sad przy chacie* — Warszawa.

— R. Oczykowski. *Przechadzka po Łowiczu*, Łowicz.

— Tadeusz Korzon, *Wewnętrzne dzieje Polski* za Stanisława Augusta (1764—1794). Tom II.

— A. Pawiński. *Polska XVI wieku* pod względem geograficzno-statystycznym. Tom II.

Zmniejszenie kary. Po uprawomocnieniu wyroku na 17 osób, obwinionych o należenie do tajnego stowarzyszenia, kara śmierci Bogdanowiczowi, Tiełłałowowi, Złatopolskiemu, Klimence, Bucewiczowi i Graczewskiemu zmienioną została na dożywotnie roboty ciężkie innym skazanym znacznie złagodzono kary.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. A. M. w Warszawie. Napiszemy – dotąd nie mogliśmy.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 3 Iюня 1883 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Swiętochowski.